

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 11 (53)

Jerozolima, 1 lipca 1945 r.

Rok III

W numerze:

Arthur Koestler: Trzecie przesłuchanie. — Aleksander Bregman: Złota brama. — Drużyna rocznica śmierci s. p. gen. Wł. Sikorskiego. — Porucznik Herbert: Każdy kurs północny prowadzi do bazy. — Jovan Ducić: Święta rzeka. — Stanisław Janicki: I znowu tworzymy księgozbiory. — Polityk i artysta. — Jan Bielatowicz: Horacy. — Wiktor Weintraub: List z Londynu. — Fakty i komentarze: Nowy rząd włoski. Kryzys belgijski. — Smutne metody. — Z prasy obcej. — Korespondencja.

PROCES PRZECIWIW POLSCE

„Śmierć za swobodne życie stokroć jest lepsza, niż podłe życie w niewoli... Będziemy się walić w cudze rowy i ślać po obcych drogach, ale dojdziemy!”

(Stefan Żeromski — „Sulkowski”).

„Nie mogę wam przyrzec nic, ani dziś, ani jutro, z wyjątkiem trudów, potu i łez”.

(Frem. Churchill do narodu angielskiego).

I

W drugiej połowie czerwca br. spotkały się w życiu międzynarodowym dwa doniosłe wydarzenia: ustalenie w San Francisco zasad organizacji Narodów Zjednoczonych i równoczesne skazanie w Moskwie przez wojskowy trybunał rewolucyjny polskiego wicepremiera, trzech ministrów rządu Rzplitej, dowódcy Sił Zbrojnych działających w Kraju, oraz grupy przywódców politycznych.

Ten zbieg faktów nie jest przypadkowy. Stanowi on właściwie zamknięcie okresu wojny z Niemcami i niepokojący symbol sytuacji. W chwili gdy postanowienia San Francisco mają zapewnić długotrwały pokój, poszanowanie wzajemne zarówno suwerenności poszczególnych państw, jak i podstawowych praw jednostki, gdy troska demokracji zwraca się ku ludom kolonialnym, gdy sprawiedliwość powszechna stara się zapewnić formę opieki i kontroli terytorium mandatowym — na drugim krańcu ziemi jeden z sygnatariuszy paktu Zjednoczonych Narodów sądzi ministrów państwa, które pierwsze przeciwstawiło się niemieckiemu niebezpieczeństwu i pierwsze wydało walkę bezprawiu i gwałtowi, by dziś same mu ulegać.

Proces moskiewski jest pierwszą od chwili kapitulacji Niemiec sprawą sądową o międzynarodowym znaczeniu. A więc nie proces Goeringa, nie proces katów Buchenwaldu, Bergen-Belsen czy Oświęcimia, lecz sprawa tych, których najbliżsi padali ofiarą tortur, którzy lat blisko sześć w najwyższej skali poświecenia i samozaparcia nie ustawiali w walce ani na chwilę, będąc sojusznikami lojalnym i wiernym, bijąc się na wszystkich frontach, poświęcając własną stolicę — miasto ukończone miłością ludzi wolnych — za cenę zdobycia pióropusza rycerza bez skazy i zma-zy obecnej wojny.

Jeżeliby komukolwiek wydało się, iż jest rzeczą wstydliwą dla polskiego słowa oddawać tę sprawiedliwość samym sobie, niech będzie wolno przypomnieć, że nie masz u nas rodziny nie dotkniętej żałobą i że zdanie o piórze maczanym we krwi w stosunku do polskiego pisarza ma sens dosłowny. Dlatego też, za tę straszliwą cenę, jesteśmy w pełnym prawie moralnym podnosić głos protestu przeciw kałaniu pamięci zmarłych i pamięci żywych.

We wszystkich niepodległych krajach Europy, wynurzające się z ukrycia podziemne państwa, rządy i armie są dumą narodu, a Ruchy Oporu zajmują czołowe miejsca w życiu politycznym. Tylko w Polsce nie ma władz, w których by zasiadał przedstawiciel walki podziemnej. Tylko w Polsce nagradzają tych bojowników egzekucją i zesłaniem. Tylko w Polsce obóz niemieckich zbrodni za ludnia się nową zbrodnią — zamykaniem w Majdanku żołnierzy Armii Krajowej. Ale i to nie wystarczy. Obecna policja polityczna podejmuje zamachy na ich wolność i życie, sąd zaś obcego państwa podjął zamach na ich cześć.

Opinia publiczna świata jest jeszcze oszołomiona zwycięstwem i perspektywami tego chaosu, jaki się wyłonił po pokonaniu Niemiec. Zabrali już jednak głos biskupi irlandcy i zaprotestowali francuscy intelektualiści. Fala protestu będzie rosła, bowiem prędzej czy później sumienie świata zareaguje na ten niebezpieczny symbol, jakim jest skazanie przywódców polskiego Resistance'u. Gdybyśmy mieli w to zwątpić, zwątpilibyśmy o człowieku.

Jeżeli kiedyś opadnie zasłona tajemnicy otaczającej proces, gdy zblednie jego teatralność, pozostanie w historii naga prawda faktu. Wymowa jego będzie prosta: jeden z Narodów Zjednoczonych porwuje członków rządu drugiego spośród sojuszników, sądzi ich i skazuje wbrew prawu międzynarodowemu wówczas właśnie, gdy podpisem na uroczystej deklaracji zobowiązuje się do prawo szanować. Kto spokojnie — jeżeli groza pozwoli mu na spokój, kto bezstronnie przyjrzy się wymowie procesu moskiewskiego, tego zdejmie lęk szerszy niż o Polskę — lęk o człowieka.

Premier Churchill, przemawiając w Dniu Zwycięstwa, raz jeszcze przypomniiał cele wojny i podkreślił, że krew przelana została

by na próżno, gdyby miejsce tyranii germańskiej miała zająć inna. Historia Polski od paru stuleci uczyła nas patrzenia w oczy prawdą tragiczną. Jeżeli mamy w tym wzrok wyćwiczony, nie dziwnego, że inni zastanawiają oczy, że wolą nie widzieć. Prawda jest zbyt potworna i złowrobną.

II

Pod bezpośrednim wrażeniem procesu opinia skłonna jest przeoczyć okoliczności, jakie go poprzedziły. Tymczasem sam sposób arestowania z góry przesądza stosunek do procesu.

Jak wiadomo, po konferencji krymskiej, w zespole tzw. Komisji Trzech (Harriman, Kerr, Mołotow), urzędującej w Moskwie, powstała różnica zdań co do osób, jakie miano zaprosić na konferencję okrągłego stołu zgodnie z postanowieniami jaltańskimi. Pogląd sowiecki przeciwstawił się anglosaskim propozycjom personalnym i, na dowód braku dobrej woli i zaufania, wskazywał na nieujawnienie się rządu podziemnego w Kraju. Ambasadorzy angielski i amerykański uważali ze swej strony, że członkowie rządu podziemnego, jako reprezentujący stronnictwa demokratyczne Kraju i Ruch Oporu oraz jako czerpiący mandat swej władzy od legalnego rządu polskiego w Londynie, byłiby najodpowiedniejszymi czynnikami politycznymi, jeśli idzie o wszelkie rokowania, mające się przychylić do poprawy stosunków polsko-sowieckich.

Po długim okresie bezowocnych pertraktacji Moskwa zdawała się przyjąć sugestie angielsko-amerykańskie. Ambasada angielska podała do wiadomości Mołotowa nazwiska i funkcje ministrów polskich, poczem przedstawiciele Czerwonej Armii zaczęli szukać kontaktu z polskimi władzami podziemnymi.

Niewątpliwie w tym czasie sprawa musiała być dyskutowana między przedstawicielstwem rządu w Kraju a rządem w Londynie. Jak wynikało by z późniejszych oświadczeń, rząd polski był pełen obaw i przekazywał ministrom w Kraju swe zastrzeżenia. Streszczały się one w jednej zasadniczej wątpliwości: czy nie mamy do czynienia z podstępem, czy nie jest to próba zdekonspirowania i rozbicia organizacji państwa podziemnego? Wydaje się także, że równocześnie b. premier Mikołajczyk, z którego nominacji pochodzili ministrowie w Kraju, starał się oddziaływać na nich w kierunku ujawnienia i podjęcia rozmów. Argumentem miał być wzgląd na ponowne danie dowodu dobrej woli ze strony polskiej, chociaż los oddziałów Armii Krajowej zdobywającej Wilno i Lwów stanowił smutne ostrzeżenie.

Przeważało poświęcenie i myśl o interesie ogólnym. Niewątpliwie odegrała tu swoją rolę także świadomość tragicznej sytuacji Kraju i nadzieja, że podjęcie rozmów z władzami sowieckimi zdoła może zahamować szalejący w Polsce terror. Płk. Pimienow dał politykom polskim słowo oficera Czerwonej Armii, gwarantując im bezpieczeństwo osobiste. Dziś — według ostatnich depeš — członek Kongresu, Albino Okoński, dodaje jeszcze, że gen. Okulicki otrzymał zapewnienie sztabów angielskiego, amerykańskiego i sowieckiego, że będzie mu doręczony tzw. list żelazny.

W dniu 28 marca zaproszeni na konferencję przywódcy polscy zniknęli. Nie zjawili się w Moskwie, nie było konferencji, ani rokowań, a na usilne interwencje angielskie i amerykańskie władze sowieckie odpowiadały milczeniem. Tendencja była wyraźna: ukryć przed światem ceną zdobycę. W dniu 24 kwietnia premier „rządu lubelskiego” oświadczył na konferencji prasowej w Moskwie, iż

zagadnienie zniknięcia polskich przywódców politycznych zostało podniesione wyłącznie przez rząd polski w Londynie, w Polsce natomiast „nikt nic nie wie o tej sprawie”.

Jeżeli była to prawda, świadczyłaby ona tylko o bezsilności i marionetkowości administracji lubelskiej. Jeżeli było to kłamstwo, wyraźniejsze stają się intencje całej gry. Potraktowano ją jako podstęp wojenny, mający sparaliżować działalność przedstawicieli rządu. Gdyby rząd polski sprawy tej nie ujawnił, nie nadał jej odpowiedniego rozgłosu, wszyscy mogliby być sądzeni w tzw. trybie administracyjnym, skazani wyrokiem zaocznym — i świat do dziś dnia nie wiedziałby o ich losie. Dzięki akcji rządu, dłuższe ukrywanie prawdy stało się niemożliwe. W 40 dni po porwaniu, Mołotow poinformował Edena i Stettinusa, że dokonano arestowania. Rozmowy na temat Polski zostały zerwane — był to ze strony anglosaskiej odruch oburzenia, reakcja moralna. Sowieciom stał się potrzebny jawny proces.

III

Spśród oskarżeń podstawowych w procesie moskiewskim jedno, choć nie do przyjęcia jako zarzut, prawdziwe będzie jako fakt. Fakt posiadania radiodiodoborników i stacji nadawczych. To co Rosjanie czynią winą oskarżonych jest właśnie tym, co uratowało ich od zniknięcia w nieznany. Zdołali porozumieć się z Londynem, zdołali zawiadomić rząd polski, nie stali się powtórzeniem zagadki gen. Kutiepowa, wywiezionego przez GPU z Paryża.

Wszystko wskazuje na to, że śledztwo rozpoczęło się dopiero wówczas, gdy już nie sposób było dłużej ukrywać samego arestowania. Tracąc jedną korzyść, postanowiono jednak uzyskać drugą: zamienić całość sprawy w wielkie oskarżenie zwrócone przeciw Londynowi, przeciw Polsce i Polakom. Wyrok śmierci stał się już zbyt niebezpieczny, mógł poruszyć opinię światową w niepożądanym kierunku. Dlatego też za kulisami zapadła decyzja demonstracyjnego okazania łagodności i wyrozumiałości. W zamian za to przebieg sprawy, wyreżyserowany z całą teatralnością, właściwą sowieckiemu procesowi politycznemu, miał opłacić swymi politycznymi zyskami brak zajęcia dla plutonu egzekucyjnego.

Trudno pojąć milczące przypatrywanie się procesowi obserwatorów anglosaskich w zestawieniu z gestem Edena i Stettinusa wobec wiadomości o arestowaniu polskich przywódców. Stawiono ich bowiem przed sądem obcego państwa, państwa okupacyjnego, wbrew najelementarniejszym wymaganiom prawa międzynarodowego.

Sąd sowiecki uznał się za właściwy do rozpatrzenia sprawy i wydania wyroku na podstawie par. 7 porozumienia zawartego z tzw. „polskim komitetem wyzwolenia narodowego” a dowództwem Czerwonej Armii, potwierdzonego następnie przez samozwańczą administrację lubelską. W myśl tego układu, w istocie rzeczy zawartego przez Sowiety ze samym sobą, przeciwdziałanie okupacji Czerwonej Armii, posiadanie radiodiodoborników, niewykonywanie rozkazów sowieckich władz wojskowych itp. wykroczenia podlegają jurysdykcji sowieckiej, posiadającej prawo wymierzenia kary śmierci.

Obok tego do rozporządzenia trybunału moskiewskiego stał słynny § 58 sowieckiego kodeksu karnego, przewidujący, iż „przestępstwa przeciwko jakiemukolwiek innemu państwu ludu pracującego, nawet jeśli nie tworzy ono części składowej ZSRR, podpada-

ją pod jurysdykcję sowiecką”. Paragraf ten domaga się kary za przestępstwa popełnione choćby przed 20 laty, poza terytorium Związku i nie przez jego obywateli, gdy tylko oskarżenie może się powołać na działalność „destrukcyjną dla celów kontrrewolucyjnych”.

Rządy amerykański i angielski nie uznały administracji lubelskiej. Wypyta stąd logiczny wniosek, iż nie powinny uznać właściwości sądu sowieckiego, opartej na układzie z „rządem” prawnie nieistniejącym, — nie powinny uznać wyroku. Wyroku, który może wobec Polaka być tylko skazujący, gdyż w świetle sowieckiego kodeksu karnego, opartego na ideologii Kominternu i odrzucającego prawo międzynarodowe, wszelka służba publiczna dla państwa polskiego będzie zawsze przestępstwem, jako czyn „kontrrewolucyjny”. Przestępstwem będzie wprost samo istnienie państwa polskiego i samo przyznawanie się do związku z rządem Rzeczypospolitej. Bezprawny kodeks, bezprawny sąd, bezprawny wyrok.

Sądzono Polaków w tej samej sali, gdzie odbywały się słynne procesy, likwidujące „starych bolszewików”, ten sam przewodniczący trybunału zasiadał za stołem sędziowskim, zastosowano te same metody śledztwa, łamania ludzi, braku świadków i możliwości obrony.

Nie dowiedzieliśmy się, co istotnie działo się na procesie. Nie ukazały się sprawozdania korespondentów zagranicznych, szczupłe informacje Reutera, przepuszczone przez cenzurę sowiecką, musiały oprzeć się na komunikatach TASS-a.

Jak zaś działa cenzura sowiecka, pisze W. L. White w swej sensacyjnej książce *Report on the Russians*. Gdy korespondent zwiadał groby w Katynie ośmielił się dodać słowa podobne jak „według mnie”, „prawdopodobnie”, „to, co widzimy, wydaje się wskazywać, że...”, ołówki cenzora usuwały wszelkie zastrzeżenia, nadając tekstowi cechy absolutnego twierdzenia. Wiemy więc o procesie moskiewskim tyle, ile pozwolono nam wiedzieć, tyle i w taki sposób, jak chciano, abyśmy wiedzieli. Rzecz jasna, iż podawano przede wszystkim szczegóły korzystne dla oskarżenia, okraszając je dla wzmocnienia prawdopodobieństwa kilku interwencjami oskarżonych.

Procedura sowiecka, w odróżnieniu od np. angielskiej, nie przewiduje jawnego śledztwa wstępnego. Wszystkie czynności śledztwa są tajne, akt oskarżenia doręcza się oskarżonemu w przeddzień rozprawy, nie dając czasu na przygotowanie obrony. Gdy w całym ustawodawstwie europejskim i amerykańskim kodeksy przyjmują, iż oskarżony może być niewinny i na prokuratora nakłada obowiązek wykazania winy oskarżonego, w procedurze sowieckiej istnieje z góry założenie, iż skarga jest słuszna i że wobec tego oskarżony musi wykazać swą niewinność. Gdy nie potrafi jej dostatecznie wesprzeć dowodami, zostaje skazany.

W procesie moskiewskim nie było świadków obrony. Przestędkę w ich przybyciu — warunki atmosferyczne. Świadkowie oskarżenia składali się z ludzi nieznanymi, o nazwiskach nieprawdopodobnych, a funkcjach nieodpowiadających organizacji Armii Krajowej. Nie odpowiedzieli na pytanie, co stało się z żołnierzami polskimi, którzy pomogli Czerwonej Armii w walce o Wilno i Lwów. Nie odpowiedzieli, jaki los spotkał ujawniające się oddziały Armii Krajowej. Sąd dbał starannie, by proces nie odbiegł od wytyczonego toru, nie objął całości zagadnienia.

Oskarżenie oparto na sowieckiej racji stanu. Istnienie podziemnej Rady Ministrów i tajnej Rady Jedności Narodowej zostało uznane za zbrodnię i gdyby nie wymagania reżyserii procesu, wyrok skazujący mógłby objąć wszystkich, gdyż wszyscy byli działaczami polskiego Państwa Podziemnego. Nie pytał nikt, czy naród ma prawo bronić się przed terrorem, czy może być przestępstwem samoobrona ludności przed wywożeniem mężczyzn i gwałceniem kobiet. Sąd traktował oskarżonych jak obywateli rosyjskich, nie przyznając żołnierzowi Armii Krajowej statutu kombatanckiego, uznanego uroczystie przez St. Zjednoczone i Anglię.

Perfidne pytanie, postawione Jankowskiemu, można by równie dobrze odwrócić i zapytać, czy niszczenie formacji Armii Krajowej nie przynosiło czasem szkody Spzymierzniom i tym samym — pożytku Niemcom. Nie udowodniono nic, nie wykazano nic, poza bijącą

(Dokończenia na str. 4-6)

ZDZISŁAW BRONCEL

HABDANK

Na szali krew, na szali kość —
Kość wygrzebana spod śniegu,
Jeszcze za mało, jeszcze nie dość,
— Strzelajcie w łeb dziesiątym w szeregu!

Na szali głód, ciemność i mróz,
Na szali — dno, na szali — grób,
Jeszcze za mało stryk ten nam wrócił,
Jeszcze za niski ten słup!

Krzyże i bicz, pokutny wór,
Nie starcza plag, nie starcza zrad,
Jeszcze za mało objął nas sznur,
Jeszcze za mało huśta nas wiatr!

Bagnet i nóż, nagan i bruk,
Piecioro salw, pięcioro lat —
Czy nas, czy was nie zmierzył Bóg,
Czy nas, czy was nie przejrzał świat?

Na szali krew, na szali łyż —
Łeż nie ma, łyż waży niewiele...
Czy w nas, czy w was dziś serce drży,
O, przyjaciele...

Ciężar? Za ile? Cena? — więc po to!
Za sławę i złoto urzędów i rang?
Daliśmy krew — oddamy złoto
— „Hab’ dank!”

ARTHUR KOESTLER

TRZECIE PRZESŁUCHANIE

Fragment powieści „Darkness at Noon”¹⁾

...Począwszy od tej chwili wspomnienia Rubaszowa o przesłuchaniu były raczej mgliste. Po zdaniu „tego z pewnością nie możecie” — które utkwiło w jego pamięci z powodu szczególnej intonacji — następowała w ciągłości wspomnień luka nieokreślonej długości. Później zdawało mu się, że zasnął i nawet przypominał sobie dziwne przyjemne sny. Musiały trwać zaledwie parę sekund: swobodny kalejdoskop świetlnych krajobrazów ze znajomymi topolami, co rzędem zdobiły aleje w majątku ojca — białe chmury — te chmury, które widział kiedyś nad sobą, jako chłopiec.

Następną rzeczą, jaką sobie uprzytomnił, była obecność trzeciej osoby w pokoju i dudniący nad nim głos Gletkina — widocznie Gletkin wstał i pochylił się nad stołem:

— Proszę uważać na przesłuchanie... Czy poznajecie tę osobę?

Rubaszow kiwnął głową. Od razu poznał Zajęczę Wargę, choć nie miał on na sobie nieprzemakalnego płaszcza, który zwykł był nosić podczas spacerów po podwórzu, garbiąc z zimna ramiona. Znany szereg cyfr przesunął się przed oczyma Rubaszowa: 2—5, 4—3, 1—5, 3—2, 4—2... „Zajęcza Warga przesyła ci pozdrowienia”. Przy jakiej okazji Nr. 402 podał mu tę wiadomość?

— Kiedy i gdzie poznaliście go?

Rubaszow musiał zrobić pewien wysiłek, aby mówić. Gorzki smak pozostawał na jego spieczonym języku.

— Widziałem go wielokrotnie z mego okna, gdy spacerował po podwórzu.

— A nie znalazł go przedtem?

Zajęcza Warga stał koło drzwi, kilka stóp za krzesłem Rubaszowa. Blask reflektora oświetlił go w pełni. Jego zazwyczaj żółta twarz była teraz kredowo biała, nos ostry, a górna warga, rozszczepiona, przecięta pręgą sinego mięsa, drżała nad obnażonym mięsiwem. Ręce zwisały bezwładnie do kolan; Rubaszowowi, który odwrócił się plecami do lampy, ten człowiek wydawał się widziadłem w świetle scenicznych kinkietów. Nowy rząd cyfr przemknął mu przez myśl: „4—5, 3—5, 4—3...” — „był torturowany wczoraj”. Prawie jednocześnie cień nieuchwytnego wspomnienia pojawił się w jego pamięci, wspomnienia, że kiedyś widział żywy oryginał tego ludzkiego strzępa, kiedyś, na długo przed wejściem do celi Nr. 404.

— Nie wiem dokładnie — rzekł z wahaniem do Gletkina. — Teraz, gdy widzę go z bliska, wydaje mi się, że spotkałem go gdzieś poprzednio.

Zanim jeszcze ukończył tę odpowiedź, Rubaszow odczuł, że lepiej było tego nie mówić. Pragnął gorąco, aby Gletkin zostawił mu parę minut na skupienie się. Gletkin, szybko i nieprzerwanie wyrzucający pytania, wywoływał w nim obraz drapieżnego ptaka dziobiącego ofiarę.

— Gdzieście ostatnio spotkali tego człowieka? Niezawodność waszej pamięci była kiedyś w Partii przysłówiowa.

Rubaszow milczał. Wyteżał swą pamięć, ale nie mógł zlokalizować w przestrzeni zjawy, której wargi drżały w oślepiającym blasku. Zajęcza Warga nie ruszał się. Przesunął językiem po czerwonej bliźnie na górnej wardze. Spojrzenie jego błądziło od Rubaszowa do Gletkina i z powrotem.

Sekretarka przestała pisać. Słychać było tylko szum lampy i chrzęst mankietów Gletkina, który pochylił się i oparł łokcie o poręcz fotela, aby zadać następne pytanie:

— A więc odmawiacie odpowiedzi?

— Nie pamiętam — rzekł Rubaszow.

— Dobrze, — powiedział Gletkin. Pochylił się jeszcze bardziej ku przodowi i — odwracając całą szerokość swej potężnej postaci w stronę Zajęczej Wargi:

— Może zechcesz nieco dopomóc pamięci towarzysza Rubaszowa? Gdzie oto, gdzie go spotkałeś ostatni raz?

Twarz Zajęczej Wargi stała się jeszcze bledsza, jeśli to było możliwe. Oczy jego musnęły przez chwilę sekretarkę, której obecność zdawał się spoznać teraz właśnie, ale zaraz zaczęły biegać, jakby uciekając i poszukując miejsca spoczynku. Znowu pociągnął językiem po wargach i wyrzucił jednym tchem:

— Towarzysz Rubaszow podlegał mnie do zlikwidowania Wódza Partii za pomocą trucizny.

W pierwszej chwili Rubaszow był tylko zaskoczony głębokim, melodyjnym głosem, dobywającym się niespodziewanie z tego ludzkiego łachmana. Ten głos zdawał się być jedną rzeczą, jaka pozostała w nim nienaruszona: kontrastował niesamowicie z całą postacią. Co on właściwie powiedział, Rubaszow pojął dopiero w parę sekund później. Od chwili zjawienia się Zajęczej Wargi oczekiwał czegoś takiego: weszły niebezpieczeństwo. Ale w tej chwili uświadomił sobie przede wszystkim groteskowość oskarżenia. Wkrótce usłyszał Gletkina znowu — tym razem z tyłu,

gdyż sam obrócił się przedtem do Zajęczej Wargi. W głosie Gletkina drgała irytacja:

— Jeszcze cię o to nie pytałem. Pytam się, gdzie spotkałeś ostatnio tow. Rubaszowa? „Błąd” — pomyślał Rubaszow. „Gletkin nie powinien był zaznaczyć, że to nie jest właściwa odpowiedź. Ja mógłbym tego nie zauważyć”. Zdawało mu się, że głowę ma znowu zupełnie jasną, wypełnioną gorączkową czułością. Szukał porównania. „Ten świadek jest automatyczną katarzynką: oto zagrał ze zgiełku tonu”. Następną odpowiedź Zajęczej Wargi brzmiała jeszcze bardziej melodyjnie:

— Spotkałem tow. Rubaszowa po przyjęciu delegacji Związków Zawodowych w B. Tam wciągnął mnie do terrorystycznego spisku na życie Wódza Partii.

Gdy mówił, jego wystraszone spojrzenie spoczęło na Rubaszowie. Rubaszow założył binokle i odważemnił owe spojrzenie ze szczerym zaciekawieniem. Ale w oczach młodego człowieka nie wyczytał prośby o przebaczenie — raczej braterską ufność i tępy wyrzut beznadziejnej męki. Rubaszow pierwszy odwrócił wzrok.

Za jego plecami zahuczał głos Gletkina, znowu pewny siebie i brutalny:

— Czy pamiętasz datę spotkania?

— Pamiętam dokładnie — rzekł Zajęcza Warga swym dziwne przyjemnym głosem. — Było to po przyjęciu, wydanym w dwudziestą rocznicę Rewolucji.

Nie odrywał wzroku od oczu Rubaszowa, jak gdyby tam znajdowała się ostatnia nadzieja wybawienia. Wspomnienia najpierw mgliste, później coraz wyraźniejsze obejmowały myśl Rubaszowa. Teraz wie nareszcie, kim jest Zajęcza Warga. Ale to odkrycie nie sprawiło na nim prawie żadnego wrażenia, prócz bolesnego zdziwienia. Odwrócił głowę do Gletkina i powiedział spokojnie, mrużąc oczy w jaskrawym świetle lampy:

— Data zgadza się. Z początku nie poznałem syna profesora Kieffera. Widziałem go tylko raz — zanim przeszedł przez wasze ręce. Można wam powinszować wyniku pracy.

— A więc przyznajecie, że znacie go i że spotkaliście się z nim w dniu i w okolicznościach wymienionych przed chwilą?

— Właśnie to samo powiedziałem — rzekł Rubaszow sennie. Gorączkowa czułość znikła i głuchy szum znowu wypełnił czaszkę. — Gdybyście powiedzieli mi odrazu, że jest to syn mego nieszczęsnego przyjaciela Kieffera, poznałbym go wcześniej.

— W akcie oskarżenia figuruje jego pełne nazwisko — rzekł Gletkin.

— Znałem profesora Kieffera, — jak wszyscy zresztą, tylko z jego pisarskiego pseudonimu.

— To szczegół bez znaczenia — powiedział Gletkin. Znowu pochylił się w stronę Zajęczej Wargi, jak gdyby chcąc zmiażdżyć go całym swym ciężarem, nawet po przez dzielącą ich przestrzeń.

— Proszę zeznawać dalej. Opowiedz, jak doszło do tego spotkania.

„Znowu błąd” — pomyślał Rubaszow mimo swojej senności. — „To z pewnością nie jest nieważny szczegół. Gdybym rzeczywiście podlegał tego człowieka do owego idiotycznego spisku, przypomniałbym go sobie przy pierwszej wzmiance — z nazwiskiem albo i bez nazwiska”. Był jednak zbyt zmęczony, aby się wdawać w tak długie wyjaśnienia, poza tym musiałby znowu odwrócić twarz do lampy. W tej pozycji mógł przynajmniej trwać obrócony tyłem do Gletkina i do światła.

Zajęcza Warga, podczas gdy ci dwaj ustalali jego tożsamość, stał w białym blasku, ze spuszczoną głową i drżącą górną wargą. Rubaszow myślał o swym starym przyjacielu i towarzyszu, Kiefferze, wielkim historyku Rewolucji. Na słynnej fotografii prezydium kongresu, na której wszyscy mieli długie brody i jakby aureole nad głowami²⁾ — Kieffer, siedział po lewej stronie starego Wódza. Współpracował z nim w zagadnieniach historycznych; był jego szachowym partnerem, być może, jego jedynym osobistym przyjacielem. Po śmierci starego Wódza, Kieffer, który znał go najbliższej ze wszystkich, wybrano dla napisania jego biografii. Pracował nad nią przeszło dziesięć lat, lecz nie było jej sądzone ukazać się w druku. Oficjalna wersja zdarzeń rewolucyjnych doznała szczególnych zmian w ciągu tych lat dziesięciu, role, grane przez głównych aktorów, musiały być napisane na nowo, skala wartości została przetasowana. Ale stary Kieffer był uparty i nie pojmował wewnętrznej dialektyki nowej ery pod władzą Nr. 1...

— Ojciec mój i ja — ciągnął Zajęcza Warga swoim niezwykle muzykalnym głosem, — w drodze powrotnej z Międzynarodowego Kongresu Etnograficznego, na który towarzyszyłem ojcu, zboczyliśmy do B., ponieważ mój ojciec chciał odwiedzić swego przyjaciela, obywatela Rubaszowa...

Rubaszow słuchał z dziwnym, mieszanym uczuciem zaciekawienia i melancholii. Do tej pory historia była prawdziwa. Stary Kieffer przybył do niego, wiedziony potrzebą serca, a także, by zasięgnąć jego rady. Wieczór, który spędzili razem, był przypuszczalnie ostatnim miłym momentem w życiu starego Kieffera.

— Mogliśmy się zatrzymać tylko na je-

den dzień — mówił dalej Zajęcza Warga z oczyma wlepionymi w Rubaszowa, jak gdyby w nim szukał siły i zachęty. — Była to rocznica Rewolucji — dlatego tak dokładnie pamiętam datę. Przez cały dzień obywatel Rubaszow był zajęty oficjalnymi przyjęciami i mógł rozmawiać z moim ojcem tylko przez parę minut. Ale wieczorem, gdy skończyło się przyjęcie w Poselstwie, zaprosił mego ojca do swego apartamentu, a ojciec pozwolił mi iść z sobą. Obywatel Rubaszow był nieco zmęczony i włożył szlafrok, ale przyjął nas bardzo ciepło. Podał wino, koniak, ciastka i wzięwszy w ramiona mego ojca, witał go słowami: „Oto pożegnana uczta dla ostatniego Mohikana!”

Za plecami Rubaszowa głos Gletkina przerwał:

— Czy odrazu zauważyłeś zamiar Rubaszowa upić cię, ażebyś stał się podatniejszym na jego namowy?

Rubaszowowi wydało się, że nikły cień uśmiechu przemknął po zniszczonej twarzy Zajęczej Wargi: po raz pierwszy spostrzegł w nim znikome podobieństwo do młodego człowieka, którego widział owego wieczoru, ale wrażenie to znikło niemal natychmiast. Zajęcza Warga zamrugał i polizał swoje spieczone usta.

— Wydał mi się trochę podejrzany, ale wtedy jeszcze nie przeniknąłem jego planu.

„Biedny świntuchu! — pomyślał Rubaszow. — Co oni z ciebie zrobili?...”

— Dalej — zahuczał głos Gletkina.

Minęło parę sekund zanim Zajęcza Warga skupił się ponownie. W międzyczasie słychać było jak chuda stenografistka temperowała ołówkę.

— Rubaszow i mój ojciec przez dłuższy czas wspominali dawne przeżycia. Mówili o czasach przed Rewolucją, o ludziach ze starszej generacji, których znałem tylko ze słyszenia, i o wojnie domowej. Często używali aluzji, niezrozumiałych dla mnie, i śmiali się ze wspomnień, o których nie miałem pojęcia.

— Czy było dużo alkoholu? — spytał Gletkin.

Zajęcza Warga mrugał bezradnie, patrząc w światło. Rubaszow zauważył, że mówiąc chwił się on lekko, jak gdyby z trudem utrzymywał się na nogach.

— Myślę, że sporo — ciągnął dalej Zajęcza Warga. — W ciągu kilku ostatnich lat nigdy nie widziałem ojca w tak dobrym humorze.

— Czy było to — zagrmiał głos Gletkina — na trzy miesiące przed wykryciem kontrrewolucyjnej działalności twojego ojca, co w ciągu następnych trzech miesięcy doprowadziło do jego stracenia?

Zajęcza Warga polizał usta, popatrzył tępo w światło i pozostał milczący. Pod wpływem nagłego impulsu Rubaszow odwrócił się do Gletkina, ale, porażony światłem, zamknął oczy i powrócił do poprzedniej pozycji, tracąc o rękaw swoje binokle. Oówek sekretarki zaskrzypiał po papierze i zastygł w bezruchu.

— Czy byłeś już wówczas wtajemniczony w kontrrewolucyjną działalność ojca?

Zajęcza Warga dotknął językiem warg.

— Tak — odparł.

— I wiedziałeś, że Rubaszow podzielał poglądy twojego ojca?

— Tak.

— Przytocz najważniejsze zdania z rozmowy. Opuść wszystko, co nieistotne.

Zajęcza Warga założył ręce na plecy i oparł się o ścianę.

— Po pewnym czasie mój ojciec i Rubaszow zaczęli rozmawiać o bieżącej sytuacji. Mówili lekceważąco o stanie spraw w Partii i o metodach kierownictwa. Rubaszow i mój ojciec nazywali Wódza numerem 1. Rubaszow powiedział, że odkąd Nr. 1 usiadł na Partii swoim szerokim zadem atmosfera pod spodem stała się nie do zniesienia. To była przyczyna, dlaczego wołał misję zagraniczną.

Gletkin zwrócił się do Rubaszowa:

— To było na krótko przed waszą pierwszą deklaracją lojalności dla Wódza Partii?

Rubaszow zrobił pół obrotu do światła.

— To by się zgadzało — rzekł.

— Czy owego wieczoru Rubaszow wspominał o zamierzeniu złożenia takiej deklaracji?

— zapytał Gletkin Zajęczę Wargę.

— Tak jest. Mój ojciec robił Rubaszowowi wyrzut z tego powodu i powiedział, że jest nim rozczarowany. Rubaszow śmiał się i nazywał ojca starym wariatem i Don Kichotem. Powiedział, że najważniejszą rzeczą jest wytrwać jak najdłużej i czekać, aż wybijie godzina.

— Co miał on na myśli, mówiąc „czekać, aż godzina wybijie”?

Znowu nieszczęsne i niemal czułe spojrzenie młodego człowieka odszukało twarz Rubaszowa. Rubaszow odniósł absurdalne wrażenie, że zamierza on odejść od ściany i pocałować go w czoło. Uśmiechnął się do tej myśli, a jednocześnie usłyszał przyjemny głos odpowiadającego:

— Godzinę, w której Wódz Partii miał być usunięty ze swego stanowiska.

Gletkin, który nie przeoczył uśmiechu Rubaszowa, rzekł sucho:

— Wydają się was bawić te wspomnienia?

— Być może — rzekł Rubaszow i ponownie przymknął oczy.

Gletkin poprawił mankiet i pytał dalej Zajęczę Wargę:

— A więc Rubaszow mówił o tej godzinie, w której Wódz Partii miał być usunięty. Jak miało to być dokonane?

— Mój ojciec uważał, że pewnego dnia przebierze się miara i Partia złoży go z urzędu, albo zmusi do rezygnacji. I że opozycja musi propagować tę ideę.

— A Rubaszow?

— Rubaszow wysmiał mego ojca i powtórzył, że jest wariatem i Don Kichotem. Potem oświadczył, że Nr. 1 nie jest przypadkowym zjawiskiem, ale wcieleniem pewnej cechy ludzkiego charakteru, mianowicie wiary w absolutną nieomyślność swych własnych sądów, z której czerpie siłę dla swego bezwzględne braku skrupułów. Dlatego nie zechce on nigdy zrezygnować z władzy i może być usunięty tylko przemocą. Nie można liczyć nawet na Partię, bo Nr. 1 trzyma w ręku wszystkie nici i biurokrację partyjną uczynił swoim współnikiem, który wie, że może stać tylko przy nim i paść z nim razem.

Pomimo odczuwanej senności uderzyło Rubaszowa, że młody człowiek zapamiętał jego słowa z taką ściślością. On sam nie przypominał już sobie szczegółów rozmowy, ale nie wątpił, że Zajęcza Warga odtworzył ją wiernie. Obserwował młodego Kieffera przez swoje szkła z nowoobudowanym zaciekawieniem.

Głos Gletkina zahuczał znowu:

— A więc Rubaszow podkreślił konieczność użycia przemocy przeciwko Nr. 1 — to jest przeciwko Wódzowi Partii?

Zajęcza Warga skinął potakująco.

— I jego argumenty, poparte obfitą konsumpcją alkoholu, wywarły na tobie silne wrażenie?

Młody Kieffer nie odpowiedział od razu. Potem rzekł głosem nieco cichszym, niż poprzednio.

— Ja prawie nic nie piłem. Ale wszystkim co mówił, zrobiło na mnie wielkie wrażenie.

Rubaszow skłonił głowę. Zdroziło się w nim podejrzenie i, działając niemal jak ból fizyczny, kazało zapomnieć o wszystkim innym. Czyżby było możliwe, aby ten nieszczęsny młodzieniec oddał rzeczywiste konkluzje jego własnych, Rubaszowa, myśli — ten, co stał tam przed nim w blasku reflektora, jak wcielona konsekwencja jego własnej logiki?

Gletkin nie pozwolił mu skończyć tej myśli. Głos jego zagrzęczał:

—... i po tym przygotowaniu teoretycznym nastąpiło bezpośrednie podleganie do czynu?

Zajęcza Warga milczał, mrugając w światło.

Gletkin czekał parę sekund na odpowiedź, Rubaszow także, instynktownie podniósłszy głowę. Minęło kilka chwil, i słychać było tylko szum lampy. Wówczas znowu dał się słyszeć głos Gletkina, jeszcze bardziej ukiadny i bezbarwny:

— Czy chciałbyś, abym dopomógł twojej pamięci?

Gletkin wypowiedział to zdanie umyślnie niedbale, ale Zajęcza Warga zdrzął, jak podcięty biczem. Polizał wargi, a z oczu jego wyjrzały nagi, zwierzęcy strach. Znowu odczuwał się miłym muzykalnym głosem:

— Podleganie nie nastąpiło tego wieczoru, tylko następnego rana podczas poufnej rozmowy między mną, a towarzyszem Rubaszowem.

Rubaszow uśmiechnął się. Przesunięcie wyimaginowanej rozmowy na następny dzień było najwidoczniej finezją w scenariuszu Gletkina. Nawet dla troglodyty przyszłuchanie się starego Kieffera namawianiu jego syna do trucicielstwa byłoby historią zbyt nieprawdopodobną. Rubaszow zapomniał o szoku, jakiego doznał przed chwilą. Zwrócił się do Gletkina i zapytał, mrugając powiekami w blasku reflektora:

— Przypuszczam, że oskarżony ma prawo zadawać pytania w czasie konfrontacji?

— Macie prawo — rzekł Gletkin.

Rubaszow odwrócił się do młodego człowieka.

— O ile sobie przypominam — powiedział, patrząc na niego poprzez binokle — ukończyliście swoje studia uniwersyteckie właśnie w czasie, gdy odwiedziście mnie razem z ojcem?

Teraz, gdy Rubaszow zwrócił się po raz pierwszy bezpośrednio do Zajęczej Wargi, wzrok młodego człowieka nabrał znowu ufności, pełnego nadziei wyrazu. Potwierdził skinieniem głowy.

— A więc to się zgadza — rzekł Rubaszow. — I znowu, jeśli dobrze pamiętam w owym czasie powstał zamiar, abyście rozpoczęli pracę pod kierownictwem ojca w Instytucie Historycznym. Czy objęliście tę pracę?

— Tak — odparł Zajęcza Warga i dodał po chwili wahania. — Pracowałem tam do chwili aresztowania mego ojca.

— Rozumiem — powiedział Rubaszow. — Ten wypadek uczynił wasze pozostawanie w Instytucie niemożliwym i musieliście szukać innego sposobu zarobkowania... — Przerwał, zwrócił się do Gletkina i mówił dalej:

— To dowodzi, że w czasie mego spotkania z tym młodym człowiekiem ani ja, ani on, nie mogliśmy przewidzieć jego przyszłego zajęcia³⁾. A więc podleganie do morderstwa za

(Dokończenie na str. 8-ej)

¹⁾ Koestler Arthur, „Darkness at Noon”, translated by Daphne Hardy, London, 1944, str. 254; fragment obejmuje str. 187 — 199 z rozdziału „The Third Hearing”.

²⁾ Były to kółka z numerami dla podania w podpisie pod fotografią nazwisk uczestników kongresu.

³⁾ Zajęcza Warga oskarżony był o usiłowanie zamachu na Nr. 1 za pomocą podsunięcia mu trucizny w zimnej zakąsce. Planował to rzekomo jako kelner w restauracji, z której Nr. 1 otrzymywał posiłki.

ALEKSANDER BREGMAN

ZŁOTA BRAMA

San Francisco, 8. maj 45

(Od korespondenta „W Drodze” z San Francisco)

Nic w San Francisco łatwiejszego, jak znaleźć piękne symbole. Różni mówcy na posiedzeniach konferencji zrobili z nich pełny użytek. Jeden wskazywał, że miasto nosi nazwę po wielkim miłośniku pokoju — św. Franciszku z Assyżu, a więc nadać się wyjątkowo do misji, jaka mu przypada w udziale. Inny znów rozwodził się nad historyczną rolą Kalifornii, — ziemi obiecanej, do której dążyli pionierzy kolonizacji XIX wieku, zwalczając wszystkie przeciwności, i wskazywał, że podobnie dziś pionierzy pokoju powinni zwalczać wszystkie przeszkody i utorować narodom drogę do ziemi obiecanej i światowego bezpieczeństwa. A Złota Brama — ileż nastroja tematu dla symbolicznych porównań! Coraz to ktoś mówi o Złotej Bramie, wiodącej do pokoju, pomyślności, bezpieczeństwa i niemal raju na ziemi.

W rzeczywistości jednak trudno dziś w Kalifornii znaleźć budujący przykład dla świata. Zbyt wielki jest kontrast, zwłaszcza w stosunku do Europy. Z perspektywy San Francisco kontynent wydaje się przeraźliwie daleki. Aczkolwiek myśl o Europie — Europie leżącej w gruzach, wygłodniałej, sterroryzowanej i niepełnej swej przyszłości — nie opuszcza ani na chwilę „ludzi stamtąd”, to jednak rezultatem jest tylko pogłębianie się kompleksów niższości i zazdrości. Tu, w Kalifornii, wojna jest tak niesłychanie odległa, jej ślady tak zadziwiająco nikłe... Otoczeniu, wśród którego wypadło konferencji pracować, otoczeniu niezwykle gościnnemu, serdecznemu, ujmującemu, trudno wprost pojąć, że gdzie indziej umierają z głodu, lub jęczą pod strasliwym uciskiem. W tym kraju nieograniczonej wolności niełatwo wyobrazić sobie, że np. w Siedlcach jeden z sojuszników rozstrzelał 15 ludzi, którzy ośmielili się sprzeciwić jego woli.

Świat dzisiejszy przypomina Kalifornię sprzed stu lat bezmała, Kalifornię z czasów gorączki złota i prawa pięści. Tak jak wówczas życie ludzkie nie liczyło się w walce o złoto, nie istniało prawo i decydowała jedynie brutalna siła, tak i dziś siła rządzi światem. Ale te czasy dla Kalifornijczyków są już tylko wspomnieniem. Dla Europejczyków są ponurą rzeczywistością.

Zasadniczy problem konferencji sprowadza się do tego, czy w dzisiejszej sytuacji politycznej w ogóle można utworzyć organizację światową będącą czymś więcej niż fikcją. Oczywiście trzeba sobie z góry powiedzieć, że mimo wszystkich trudności, jakie leżą na drodze konferencji, mimo gorącej opozycji przeciw przywilejom veta, mimo różnicy zdań między mocarstwami w sprawie powiernictwa i losu terytoriów mandatowych, organizacja Zjednoczonych Narodów w końcu powstanie. Wszyscy są zgodni co do tego, że jednak drogą kompromisu uzgodni się tutaj jakąś Kartę stosunków międzynarodowych, już choćby z tego względu, że jeżeli nie nastąpi to teraz w San Francisco, to nie nastąpi wcale. Sięszy się owe dane bardzo często — jest ono niezwykle charakterystyczne dla ogólnego nastroju niewiary w przyszłość współpracy między narodami, jeżeli współpraca opierać się będzie na tym, co dziś obiecują jako jej fundament.

Rzecz jasna, że uroczyste utworzenie organizacji, mającej zastąpić dawną Ligę Narodów, nie będzie oznaczało, iż potrafi ona naprawdę coś zdziałać. Odnosi się wrażenie, że w istocie rzeczy ludzie coraz bardziej zdają sobie sprawę, że budują na piasku i że gmach taki nie może być trwały. Z każdym dniem pogłębia się kontrast między słowami a rzeczywistością, między tym, co się myśli (a czasem także i mówi w rozmowach prywatnych), a tym co się głosi w publicznych przemówieniach, — kontrast między wielkością zagadnień, jakie trzeba rozwiązać, a ludźmi, którym ta rola przypada w udziale. Jako wizerunek świata u progu nowej „ery pokoju” konferencja w San Francisco jest nieporównana: dramat Europy r. 1945 rysuje się tu — prawem kontrastu — w sposób wyjątkowo jaskrawy.

Gdyby słowa mogły cokolwiek tutaj zdziałać, San Francisco stałoby się naprawdę Złotą Bramą lepszego świata. Jakkolwiek będzie los poprawek, zgłoszonych do projektu, opracowanego w Dumbarton Oaks, jedno jest pewne: ostateczny tekst zostanie upiękuszony, ozdobiony, ugodnolniony. W Dumbarton Oaks ustalono zasady niemal cyniczne w swojej brutalności — postanowień podyktowanych uznaniem siły nie starano się ubrać w pięknie brzmiące frazesy. Ani razu nie pojawiło się słowo „sprawiedliwość”, nie wspomniano nawet o takiej drobnostce jak „prawo międzynarodowe”, zapomniano o prawach człowieka. Dziś wszystko się na gwałt poprawia. Sami autorzy dawnego projektu zgłaszają poprawki w duchu zasłonięcia przykrej prawdy. Zapowiadają wspaniałe brzmiący wstęp do tekstu Karty, w którym mają figurować najbardziej wzniosłe zasady.

Będzie więc i „sprawiedliwość”, i „prawo międzynarodowe”, i „poszanowanie praw człowieka” i nawet Karta Atlantyczna. Ale oczywiście nie znaczy to, że realizacja tych zasad zostanie w najmniejszym stopniu zapewniona. Będzie to wyzwanie wiary, w które niewielu wierzy — i nie więcej. Sam fakt, że zgodzono się na to wszystko i nawet na wymienienie nieboszczki Karty Atlantycznej, już

wystarczy, aby stwierdzić, że niektóre państwa uważają to tylko za frazesy.

Wszystko to ma być w czasie przyszłym, a zarazem w trybie warunkowym. Narodom, które domagają się sprawiedliwości teraz, mówi się, że, niestety, dziś trzeba dokonać rzeczy niesprawiedliwej, którą może kiedyś, w przyszłości, będzie można zmienić. Ludziom, którzy są deportowani, aresztowani i wieszani, choć nic nie zawiniłi, mówi się: nie trzeba się martwić, gdyż przyjdzie czas, kiedy prawa ludzkie zostaną zabezpieczone.

Jednego i tego samego dnia delegat sowiecki podpisał się pod poprawką, głoszącą, iż celem organizacji jest m. in. „zapewnienie poszanowania podstawowej wolności wszystkich ludzi” i... ogłosił o aresztowaniu przywódców Polski Podziemnej. Nic może nie jest bardziej znamienne od tego faktu dla atmo-

sfer, w jakiej pracuje konferencja. O Genewie mówiono w niektórych okresach, że była jarmarkiem cynizmu i obłudy. Dziś człowiekowi przebywającemu w San Francisco może się wydawać, że była ona przykładem uczciwości i moralności w stosunku do obrad nad nową Ligą Narodów.

Swoista fikcyjność w San Francisco wyraża się m. in. w tym, że prawdziwe problemy, od których rozwiązania zależy pokój świata, zostały — jeśli tak można powiedzieć — w szatni. Nie mają one wstępu na salę obrad. Czym prędzej zamalowano pomyłkowy napis „Konferencja pokojowa” i odtąd przy każdej okazji podkreśla się, że żadne konkretne kwestie nie podlegają uprawnieniom konferencji. W rezultacie przypomina ona komisję, która ustala regulamin straży pożarnej w momencie, gdy szaleje pożar.

W drugą rocznicę śmierci

ś. p. gen. Wł. Sikorskiego, Nacz. Wodza i Premiera Rządu Rzplitej

Gen. Sikorski: — „Panie Premierze! Polska walczy dalej. Chcę oddać polskie Siły Zbrojne do dyspozycji Wielkiej Brytanii, naszego sprzymierzeńca. My chcemy walczyć. Wiem, że Anglia walczy dalej, ale chcę to usłyszeć z Pańskich własnych ust”.

Premier Churchill: — „Generale! Jesteśmy z sobą związani na śmierć i życie”.

(Rozmowa gen. Sikorskiego z premierem Churchilllem z dnia 19.VI.1940 w Anglii).

„Dowiedzieliśmy się wczoraj, że sprawa Zjednoczonych Narodów poniosła bolesną stratę. Jest moim obowiązkiem wyrazić uczucie tej Izby i oddać hołd pamięci Generała Sikorskiego, wielkiego polskiego patrioty i wiernego sprzymierzeńca. Śmierć jego w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem była jednym z najcięższych ciosów, jakie nas spotkały”.

„Od pierwszych ponurych dni polskiej katastrofy i brutalnego triumfu niemieckiej maszyny wojennej aż do chwili swej śmierci w niedzielę wieczorem, gen. Sikorski był symbolem i wcieleniem tego ducha, który prowadził naród polski poprzez stulecia bólu, ducha niezniszczalnego przez śmierć”.

„...Miałem często sposobność spotykać gen. Sikorskiego w latach tej wojny. Miałem dla niego wiele uznania i wiele podziwu dla jego zrównoważenia i spokojnej godności pośród tylu doświadczeń i nieoczekiwanych problemów. Był on człowiekiem wyróżniającym się zarówno jako polityk jak też jako żołnierz”.

„...Aż do chwili swej śmierci gen. Sikorski żył w przekonaniu, że wszystko musi być podporządkowane koniecznościom wspólnej walki, i wierzył, że powstanie lepsza Europa, w której wielka i niezależna Polska będzie grała wielką i zaszczytną rolę. My, Brytyjczycy, zarówno tutaj, jak i w całej Brytyjskiej Wspólnocie Narodów i w całym Imperium, którzyśmy wypowiedzieli wojnę Niemcom z powodu najazdu Hitlera na Polskę i w wypełnieniu naszego zobowiązania, podzielamy uczucia naszych polskich sprzymierzeńców w ich nowej stracie. Wyrażamy im nasze współczucie, wyrażamy naszą wiarę w ich nieśmiertelne wartości i oświadczamy, że w naszym głębokim przekonaniu dzieło gen. Sikorskiego jako polskiego Premiera i Naczelnego Wodza nie pójdzie na marne”.

(Przemówienie premiera Churchilla w Izbie Gmin po śmierci gen. Sikorskiego).

„Dla narodu, który pragnie pozostać narodem, istnieje nieszczęście większe od wojny: utrata praw do niepodległej egzystencji w ramach narodowej wspólnoty. Przykład Polski dowodzi, że uczucie narodowe nie jest złudzeniem. Sto pięćdziesiąt lat niewoli nie zdołało zmienić tego uczucia. Historia Polski może służyć za przykład, że naród, który chce pozostać sobą, skazany jest na życie w buncie, jeżeli pozbawi się go prawo do samodzielnego bytu”.

(„Wojna nowoczesna”, wyd. ameryk. str. 124).

„Naród polski wykazuje w tej niebywalej w historii ludzkości katastrofie bohaterstwo niezłomne, znajdujące coraz większe zrozumienie i uznanie świata. Naród polski jest źródłem niewyczerpanych sił moralnych, a te odegrają jeszcze w przełomowym okresie toczącej się wojny rolę rozstrzygającą”.

(Z przedmowy do wydania książki „Nad Wisłą i Wkrą” z r. 1940).

„Szczepnie pragnę porozumienia z Rosją pomimo wielkiej krzywdy, jakiej Polska od niej doznała w r. 1939, i pomimo 150 lat głębokiego konfliktu. Ale porozumienie to musi się opierać na pełnym uznaniu suwerenności Polski”.

(Przemówienie z dn. 18.VI.1941).

„Pragnę wierzyć, iż narody sowieckie nie zapomną, że Polacy bili się ze wspólnym wrogiem... W przyszłości, po odniesionym zwycięstwie, Polska zwróciła frontem do Niemiec będzie odgrywała doniosłą rolę. Wzajemne uznanie suwerenności państw — oto istotny warunek utrzymania dobrych stosunków między Polską a Związkiem Sowieckim”.

(Przemówienie w Moskwie w dniu 4.XII.1941).

„Wiemy, jaka jest opinia Związku Sowieckiego o paktach i układach zawieranych z państwami o ustrojach niekomunistycznych. Stosują się do nich następujące słowa Lenina, których nic w polityce sowieckiej dotychczas nie zdezaktualizowało: „Wolno nam akceptować wszystkie zobowiązania, jakich mogą od nas ządać, ale, gdy wybijie godzina rozstrzygająca, nie wolno nam zapomnieć, że honor komunisty polega na wypełnieniu ich tylko w granicach interesów proletariatu”.

„Jak w przeszłości tak i w czasach obecnych nie ma innych gwarancji egzystencji jakiegokolwiek państwa lub grupy państw — jak tylko siła i jedność”.

„Obok rozlicznych czynników porządku wewnętrznego, jak tradycja, (język, nawyknięcia, zwyczaje), istnieje jedno z najstarszych praw historycznych: że presja zewnętrzna zawsze przyspiesza ewolucję narodu w kierunku wzmocnienia narodowej jedności”.

(„Wojna nowoczesna”, wyd. ameryk. str. 17, 21, 25, 30).

Sprawy polskiej nie dyskutuje się na konferencji. Gdyby nie wystąpienie Mołotowa, który zabrał głos w charakterze obrońcy praw narodu polskiego, nie byłoby nawet mowy o pustym polskim krześle. Tego ostatniego określenia używam raczej w przenośni, gdyż w praktyce nie zostawiono nawet symbolicznego pustego fotela dla polskiego delegata... Nikt nie zdobył się na to, by odpowiedzieć Mołotowowi i głośno zaprotestować na sali obrad przeciw niezaproszeniu legalnego rządu polskiego. Sporo jest takich, którzy uważają, że nie nie zaszkodzi, jeżeli kamieniem węgielnym nowej Ligi będzie kamień grobowy Polski. Oczywiście nikt się do tego jawnie nie przysta. Ale tak właśnie rozumują ci, którzy uważają, że trzeba wszystko podporządkować najwyższemu celowi, jakim jest stworzenie nowej organizacji.

Niedopuszczeni na konferencję przedstawiciele różnych narodów, jak mogą, wołają o sprawiedliwość. Ci, którzy nie posiadają oficjalnego prawa głosu, usiłują w San Francisco poruszyć opinię świata. Serbowie i Chorwaci ostrzegają przed terrorystycznymi metodami, stosowanymi w Jugosławii. Litwini, Łotysze i Estończycy starają się przerwać śmiertelną ciszę zapomnienia, w której konają ich narody. Żydzi upominają się o Palestynę. Koreańczycy domagają się, by obiecana im niepodległość nie wyglądała „po lubelsku”. Hindusi spod znaku Kongresu protestują przeciw kompetencji oficjalnej delegacji i wołają o niepodległość Indii. Nie ma dnia, by na marginesie tzw. UNCIO nie odbyła się konferencja prasowa któregoś z narodów pozbawionych wolności. Ale w wielkiej sali obrad w Operze nie ma dla nich miejsca. Udać się, że nikt nie widzi, jak kraj po kraju traci niepodległość i wolność. Wysłuchuje się z uwagą delegata Czechosłowacji czy Jugosławii, choć każdy wie, że spełniają oni tylko rozkazy swego szefa.

Pomija się także załatwienie sprawy niemieckiej. Milczenie otacza Austrię. Tylko Francuzi korzystają ze sposobności, aby domagać się Ruhr i Nadrenii. Oczywiście nie dyskutuje się kwestii granic, ani zagadnienia odbudowy. Mówi się tylko o jednym: jak utrzymać pokój, który jeszcze nie jest zawarty.

Gdybyż przynajmniej naprawdę była mowa o stworzeniu systemu zabezpieczającego trwałość pokoju. Zamiast tego stwarza się pozory organizacji międzynarodowej, która jednak nie będzie mogła ani działać, ani niczego skutecznego dokonać. Pod tym względem najbardziej znamieną jest sprawa veta. Jak wiadomo, prawo veta dla wielkich mocarstw z góry skazuje organizację na całkowitą bezsilność, gdyż nie będzie ona w stanie wystąpić przeciw napastnikowi, którym jest wielkie mocarstwo, napastnikami zaś mogą być dzisiaj tylko wielkie mocarstwa.

Wydaje się, że niemal wszystkie państwa, reprezentowane na konferencji byłyby przeciwnie vetu. Nawet niektóre z wielkich mocarstw, którym ma ono przysługiwać, wyraziły gotowość wyrzeczenia się tego przywileju, jeżeli wyrzekną się go inni członkowie Wielkiej Piątki. Na konferencji jeden mówca po drugim piętnował prawo veta, a premier nowozelandzki nie zawahał się go nazwać „obrzydliwym, katastrofalnym, absurdalnym”.

A jednak jest rzeczą z góry przesądzoną, że veto będzie utrzymane w imię ocalenia całości organizacji. Wielu delegatów zapowiedziało, że, aczkolwiek niechętnie, zgodzą się na ten przepis. Za kulisami tej powściągliwej opozycji stoi obawa, że Rosja mogłaby odmówić należenia do Ligi, której decyzjom nie mogłaby przeszkodzić. W rezultacie San Francisco otrzymało do wyboru: albo prawo veta, bezsilność organizacji i — udział Rosji, albo: zabezpieczenie pokoju przeciw wszelkiej agresji, organizacja międzynarodowa — ale bez Rosji. Wyboru już dokonano. Zdecydowano się na pierwszą możliwość.

Nazywa się to w języku z San Francisco: „nie należy szukać doskonałości”. Precz z „perfekcjonizmem”. Najważniejszą rzeczą jest wyjście z wojennego chaosu. Dla wykazania zaś, że będzie można udoskonalać organizację, gdy tylko raz się ją stworzy, zwracają uwagę na amerykańską poprawkę, proponującą, aby było można zdecydować większością 3/4 członków organizacji zwołanie konferencji dla zmiany jej statutu. Rosjanie zgodzili się na to — woła się z dumą. Zgodzili się rzeczywiście — przynajmniej w danym momencie. Dlaczego zresztą nie mieliby się zgodzić, skoro dalej jest powiedziane, że ewentualne zmiany w Kartie Zjednoczonych Narodów wejdą w życie dopiero gdy zostaną ratyfikowane przez większość państw i... wszystkie wielkie mocarstwa. W ten sposób prawo veta miało obowiązywać także i przeciw wszelkim ulepszeniom. Ale tego się nie przypomina. Obłuda tryumfuje.

I tak dzień po dniu, na syrkim kalifornijskim piasku buduje się gmach „trwałego pokoju”, wznosi się moźolnie system „międzynarodowego bezpieczeństwa”. W głębi duszy bodaj wszyscy mają wątpliwości, czy istotnie tą metodą osiągnie się pokój i bezpieczeństwo. Ale jednocześnie nikt nie ma odwagi powiedzieć głośno: nie tędy droga. To nie Złota Brama wolności i pokoju — to raczej wejście do smutnego świata, w którym w pewnej chwili można bezkarnie podeptać podstawowe prawa ludzi i narodów.

STANISŁAW JANICKI

I znowu tworzymy księgozbiory...

Car Piotr Wielki „europeizował” Rosję w sposób swoisty i jedynie władcom moskiewskim właściwy. — „Z Europy brał pozory, a rzeczywistość z Azji”. Golił brody poddanym, skracał poły kaftanów, wtlaczał muzyków w obcisłe liberie, opornym obcinał nosy i gnał ich tysiącami na Sybir. Sam Piotr sprawował rzemiosło kata, dopóki mu nie zdętnęła ramię, a „na zakończenie dnia — jak podaje Golicyn — zakopywano żywcem niewiasty”. Resztki bojarszczyzny zniszczono, zastępując ją zapożyczoną od Mongołów instytucją czternastu czynów, czyli hierarchią urzędniczą o tej ilości stopni. Odtąd „szpiegostwo stało się obowiązkiem — niedopełnianie tego obowiązku zbrodnią stanu”.

Agenci moskiewscy werbowali za granicą artystów i wszelkiego rodzaju fachowców, głosząc wszędzie wielkoduszność i wspaniałość myślności wielkiego reformatora Rosji. Akademia paryska uważała za zaszczyt wpisać na listę swych członków cara Piotra, mordercę własnego syna. Nieliczni cudzoziemcom zwiedzającym Rosję pokazywano „cuda”, gdyż, jak mówi Karamzin, „odwieczny to obyczaj moskiewski sprowadzać na wielkie drogi ludzi postrojonych, a piękne wojsko; zwozić podróżnego porządkiem, ochędostwem, a nawet zbytkiem, a strzec pilnie, aby z drogi nie zbyczył, o istocie rzeczy nie przeświadczył się”.

Car Piotr, pragnąc uzyskać dla Rosji dostęp do mórz Północy, powziął plan zaczepnej wojny ze Szwecją, dla której zjednął sobie króla polskiego, Augusta II Sasa. Układem preobrażeńskim z 21.XI.1699 obaj monarchowie przyrzekli sobie wzajemną pomoc w walce z Karolem XII. Wojna jednak z młodocianym królem szwedzkim omal nie zakończyła się przegraną, a ciężka i długa kampania zmusiła Augusta II i Piotra do ściślejszego układu tzw. narewskiego, w którym car między innymi obiecał „nie tylko w Inflanciech, ale i innych miejscach, cokolwiek w posesjach wspólnego nieprzyjaciela zostawało, a wziętym być mogło, oddać i ustąpić Polsce bez nagrody z ochotą”.

Drogo jednak Rzeczpospolita zapłaciła za „pomoc”. Piotr zachowywał się w Polsce gorzej od właściwych najędźszych Szwedów, w oswobodzonych Inflantach przyjmował przysięgę na wierność Rosji, wieszając księży unickich i zamykał kościoły, a biskup Załęski musiał się schronić aż pod opiekę cesarza austriackiego. Z roku 1707 taka zachowała się notatka:

„Moskale uchodząc niszczyli miasta mieczem i ogniem. W Lesznie z 3000 domów pozostało tylko siedemnaście, ten sam los spotkał Radzynę i Rawicz. Zewsząd rekrutów, rzemieślników, lud, sprzęty, było przepędzali do Moskwy, zioła zabierali z ogrodnikami. Z pałaców warszawskich wywieźli: srebra, księgozbiory, kosztowne posągi i obrazy, między innymi „Wzięcie carów do niewoli” za Zygmunta III, które sławny Dolabella odmalował, chcieli nawet zabrać posąg Zygmunta”.

Biblioteka zamku królewskiego, ograbionego doszczętnie, zawierała prawdopodobnie zbiory Władysława IV, który był wielkim miłośnikiem literatury i sztuki. Księgozbiory warszawskie razem z piękną biblioteką zrabowaną w Mitawie stały się później dumą biblioteki carskiej w Petersburgu.

Za panowania Piotra Wielkiego wpływy kulturalne polskie w Rosji były niezwykle silne, tak że car, widząc w tym niebezpieczeństwo, zakazał między innymi urządzania szopek, wznoszenia przydrożnych kapliczek, a nawet rzeźb figuralnych w cerkwiach, jako zbyt charakterystycznych dla kultury łacińskiej. Język polski rozbrzmiewał jednak na dworze rosyjskim i sam Piotr doskonale nim władał, a biblioteki polskie stały się dla Moskale niezwykle cenną zdobyczą. Poza książkami polskimi, łatwo zrozumiałymi dla Rosjan, zawierały one wiele ksiąg ruskich drukowanych w Wilnie, Krakowie, Ostrogu, Lwowie, Poczajowie itd., a których brak odczuwało duchowieństwo prawosławne — rzadko znające język grecki.

Piotr W. pierwszy zainicjował utworzenie wielkiej biblioteki carskiej drogą grabieży zdobyczy kulturalnych innych narodów, a przede wszystkim narodu polskiego. Od jego czasów aż po dzień dzisiejszy wędrują na wschód polskie zbiory — owoce wysiłków wielu pokoleń.

W r. 1769, podczas Konfederacji Barskiej, Moskale wywożą Archiwum Nieświeskie, zawierające tzw. „metrykę litewską” czyli zbiory dokumentów W. Ks. Litewskiego. Na mocy przywileju Króla Zygmunta Augusta Radziwiłłowie sprawowali pieczę nad aktami litewskimi. Zbiory te były zupełnie nieznane i nieopracowane, gdyż w owych czasach bibliografia polska właściwie jeszcze nie istniała.

Aleksander Suworow, słynny z rzezi Praż, gdzie wymordowano 12 tysięcy Żydów i biedoty polskiej, wywoził ze zdobytej Warszawy w roku 1795 wspaniałą bibliotekę im. Załuskich, stanowiącą własność narodu polskiego.

Dziwne i tragiczne były losy tego pięknego księgozbioru od samego zarania jego istnienia. Twórca biblioteki, Józef Jędrzej Załuski, zwolennik Stanisława Leszczyńskiego, dzielił losy nieszczęśliwego króla przebywając przez wiele lat w Lotaryngii. Tam, na

emigracji w Luneville, powstała wielka myśl stworzenia biblioteki narodowej. Możliwe nawet, że pomysł ten mógł poddąć Załuskiemu Król Stanisław, którego współudział w wielkim dziele jest niewątpliwy, a przez bibliografów raczej przemilczany. Stanisław obdarował biskupa bogatym opactwem w Lotaryngii oraz wyrobił mu u swego zięcia, Ludwika XV, drugie w Burgundii. Nie tylko popierał finansowo plany Załuskiego, ale niewątpliwie służył mu radą i pomocą przy zakupie książek, sam bowiem był znakomitym bibliofilem, od współczesnych otrzymując zaszczytny przydomek „króla filozofów”.

Panowanie Ludwika XV we Francji odznaczało się wielkim zubożeniem społeczeństwa, do czego między innymi przyczyniła się i afera Jana Law; wyprzedaż i licytacje były na porządku dziennym. Toteż przed Załuskim otwierały się duże możliwości taniego zakupu książek. Józef Załuski przywiózł do kraju już sporą bibliotekę, a gdy August III, chcąc biskupa pozyskać, obdarzył go w kraju prebendam, Załuski zebrał olbrzymią bibliotekę, której nie miał gdzie umieścić. I wtedy to przychodzi mu z pomocą brat jego Stanisław Jędrzej Załuski, biskup krakowski; zakupuje gmach w Warszawie (pałac Daniłowiczowski) a jednocześnie ofiarowuje do biblioteki bezcenne księgozbiory prymasa Olszowskiego i Jana III.

Sobieski bowiem był znakomitym znawcą książek i miał piękne zbiory oraz bibliotekę. Nawet podczas wypraw wojennych prowadził on ożywioną korespondencję ze znakomitymi bibliofilami. Tak np. w liście do Kózmy III Medyceusza (z 7.III.1675) donosi, że „posiada jako wielką osobliwość książeczkę drukowaną w języku moskiewskim”, słownik litewski i najlepszą gramatykę polską”. Zapewne również ciekawy musiał być zbiór prymasa Olszowskiego, człowieka odznaczającego się nieprzeciętnym wykształceniem. Połączone zbiory braci Załuskich były stale powiększane przez Józefa Jędrzeja, który osobiście wyszukiwał stare druki po klasztorach i kościołach.

W roku 1764 na sejmie koronacyjnym

**) Pewno „Dejanija i posłania apostołów” — 1564.

POLITYK I ARTYSTA

(W czwartą rocznicę śmierci I. J. Paderewskiego)

Paderewski był jednym z największych spośród wybitnych Polaków, jakich wydało pokolenie po tragicznej klęsce 1863 r. Potrafił swój nieporównany artystyczny zaprzęć na służbę sprawy polskiej, a sprawę polską propagować przez roztaczanie najwyższego czaru artystycznego. Syn narodu, którego pozbawiono niepodległości państwowej, odbierał holdy królów, wstających, gdy wchodził na salę. Wobec świata był nie tylko najbardziej wówczas znanym Polakiem, ale i jednym z najgłośniejszych Europejczyków.

Wielkie zagadnienia przełomu naszej cywilizacji podyktowały kiedyś Paderewskiemu następujące uwagi.

„...Jest rzeczą do głębi poruszającą pomyśleć, że cały dorobek nowoczesnej cywilizacji, wolność myśli, wiara w wyższość rozumu nad opancerzoną pięścią, że wszystko to może być zniszczone.

Cywilizacja we właściwym znaczeniu tego słowa, wewnętrzne odczuwanie wolności, a przez to i demokracja, powstały tylko tam, gdzie znaleźli się ludzie, którzy te wartości najpierw stworzyli, a następnie kształtowali. Masy w najgłębszym i najciemniejszym popędzie nie pragną niczego poza chaosem, tak jest, chaosem. To nie masy, lecz tylko i wyłącznie jednostka ustanawia porządek, a przez to tworzy cywilizację. Skrajnymi ruchami dnia dzisiejszego nie są dla mnie ruchy kierowane przez wielkich przywódców, lecz wyłącznie ruchy fanatycznych i nieoświeconych mas, pędzących ślepo za ryczącymi głosami niektórych mówców, korzystających z blasku zwoleńców światła mistycyzmu, którego ani sami nie rozumieją, ani też nie rozumieją ci, którzy idą za nimi. Skoncentrowana siła woli mas skupia się na jednym wybranym człowieku, który sam siebie nazywa wodzem; w rzeczywistości nie jest wodzem, lecz tylko większym fanatykiem od idących za nim; wierzy on z wielką siłą w mistycyzm nieokreślonego posłannictwa, ale pozbawiony jest w o wiele większym stopniu, niż masy, poczucia proporcji. Prawdziwa cywilizacja nie może istnieć bez prawdziwego poczucia proporcji. To zniszczenie wartości kulturalnych, którego jesteśmy świadkami od czasu wojny, nie może być dziełem wielkich ludzi. Wielej ludzi nie potrzebują zniszczenia cywilizacji poprzedniej, by móc stworzyć nową. Obecna dewastacja starej cywilizacji w wielu krajach jest dziełem niemiech mas, które instynktownie wybrały pewnych ludzi, by

JAN BIELATOWICZ

H O R A C Y

Kupiłem sobie księgę pierwszą
„Od” Horacego. Czasem w smutku
Błogo jest czytać rzymskie wiersze.

Człowiek się jawi w lustrze ód tych,
Przygoda huczy w morskich burzach
I mróz Soracte ściska luty,
Echem pobrzmiwa wojny groza.

Załoscy ofiarowali uroczyste bibliotekę Narodowi, a liczyła ona już wówczas przeszło 300 tysięcy tomów. Bibliotekarzem Załuskich był nieoceniony Janocki, w bibliotece zaś pracowali ludzie tej miary jak Stanisław Konarski, Tadeusz Czacki, Jan Albertrandi, Adam Naruszewicz, zapoznając się tam ze skarbnicami kultury polskiej. Józefa Jędrzeja Załuskiego porwano z r. 1768 z polecenia Repnina i wywieziono do Kaługi. Tam na wygnaniu twórca pierwszej polskiej biblioteki narodowej opracowywał historię swych zbiorów.

Tak więc na zesłaniu narodziła się pierwsza bibliografia polska. W roku 1773 powrócił Załuski do kraju, ale wkrótce umarł, wyczerpany zesłaniem. Biblioteka, w chwili wywiezienia do Petersburga przez Suworowa, liczyła 426 tysięcy tomów, a więc należała ówczesnie do najwspanialszych bibliotek świata. Bibliotekarz Janocki oślepił, a gmach wkrótce zgorzał. Tak w skrócie przedstawiają się dzieje biblioteki, która była chlubą narodu, historia jej jednak nie różni się od wielu innych fundacji, podobnym losem dotkniętych.

Strasliwa klęska rozbiorów nie złamała narodu polskiego, nie przerwała również jego bujnego rozwoju kulturalnego. Zaledwie minęło parę lat od zdobycia Warszawy i zrabowania przez Rosjan biblioteki Załuskich, a już we Włoszech legiony Dąbrowskiego nie tylko walczyły, ale i tworzą zbiory kulturalne z myślą przywiezienia ich do kraju. Jan Henryk Dąbrowski, znakomity bibliofil, przy pomocy Cypriana Godebskiego, poety-żołnierza, gromadził książki i pamiątki polskie. Legionista Józef Drzewiecki, artysta malarz, kopiując mistrzów włoskich, zbierał sztuki i rysunki, kupuje obrazy, które przekaże później Liceum Krzemienieckiemu, powstałemu na ukochanym jego Wołyniu. Generał Dąbrowski przywiózł do kraju 6000 tomów oraz wiele pamiątek, wśród nich chorągwie z Loreto, i ofiarował swe zbiory Warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk, gdzie podobni jak p. Cyprian Godebski byli czynnymi członkami. Podczas gdy Legiony gromadziły zbiory we Włoszech, w kraju godnymi następcami Załuskich byli: Adam Czartoryski, Tadeusz Czacki, Józef Ossoliński i inni, przeznaczając olbrzymie sumy na tworzenie nowych

zbiorów muzealnych. Dzięki Adamowi i Izabelle Czartoryskim, Puławy stały się „oazą polskości”. Tam przebywali często Ignacy i Stanisław Potoccy, Jan Albertrandi, Tadeusz Czacki, Piramowicz, Józef Ossoliński i wielu innych sławnych Polaków. Tam, jak mówi Wincenty Pol: „uczony znajdował zachętę, stary żołnierz przytułek, ubogi hojne wsparcie, młodzież uczyła się mówić i myśleć po polsku; tam w bogatych księgozbiorach zgromadziły się skarby dzieł”.

Biblioteka Puławska, w której skład wchodziły zbiory Czackich, liczyła 2000 rękopisów oraz 17000 samych ksiąg polskich, nie mówiąc o obcojęzycznych. Znajdowały się tam dwa egzemplarze Biblii Ostrogskiej. Świątynia Sybilli zawierała wiele ciekawych eksponatów muzealnych. Wszystko to znowu wywieziono do Moskwy po stłumieniu powstania w 1832 roku.

Tadeusz Czacki, o którym pisał Karol Sienkiewicz, „że tylko w historii Narodu wielkie rozmiary jego zasług wydatnie i zrozumiale pojąć się mogą”, nie tylko w krótkim czasie stworzył wspaniałe zakłady naukowe, ale i wyposażył je w piękne biblioteki. Księgozbiór Liceum Krzemienieckiego w chwili zrabowania przez Rosjan (1834) liczył 34.378 tomów, na co składały się: biblioteka Króla Stanisława Augusta — 15.680 tomów, dary ks. Jabłonowskiego, hr. Moszyńskiego, niezwykle rzadkie zbiory orientalistyczne Jana Potockiego i Wacława Emira Rzewuskiego oraz zbiór ksiąg ostrogskich, podarowanych liceum przez metropolicę kijowskiego, zbiory medali i monet (5000 rzymskich), kolekcja sztichów, rysunków i obrazów Józefa Drzewieckiego, nie brakło tam podobno rysunków Rafaela i Rubensa, a był nawet obraz Leonarda da Vinci. Wszystkie te skarby powędrowały do Kijowa, gdzie ze zbiorów liceum i uniwersytetu wileńskiego utworzono bibliotekę Uniwersytetu Włodzimierskiego.

Po powstaniu w 1863 roku wywieziono z Warszawy Bibliotekę Towarzystwa Przyjaciół Nauk (zbiory Dąbrowskiego, Sapiehy, Bohusza) oraz Uniwersytetu Warszawskiego, liczące 150.000 tomów, w tym 25.000 starych ksiąg polskich, 7000 ksiąg sprzed 1520 r., 12000 rękopisów. Na Bibliotekę Uniwersytecką składały się księgozbiory arcybiskupa Ignacego Kraskiego (4 tysiące tomów), autora słownika, Lindego, (50 tysięcy tomów) oraz zbiory hr. Łubieńskiego. Oprócz ksiąg wywieziono z Uniwersytetu Warszawskiego 100.000 sztichów, 700 medali i wiele innych eksponatów. Lepiej trochę się działo pod zaborem austriackim i pruskim, gdzie rosła biblioteka Józefa Ossolińskiego, który w 1817 r. zgromadził już 34 tysiące tomów, zakupionych po skasowanych przez cesarza Józefa klasztorach; zbiory Raczyńskich w Poznaniu i Działyńskich w Kurniku (zabór pruski) dotrwały do 1939 roku.

Rok 1939 przyniósł zagładę wielu zbiorów. Działania wojenne we wrześniu zniszczyły poważnie zbiory warszawskie, spłonęła Biblioteka Wojskowa licząca 250 tysięcy tomów, zniszczeniu całkowitemu uległy zbiory Raperswillskie, zawierające bezcenny zbiór książek (6000), oraz komplet druków emigracyjnych z XIX wieku. Przez parę lat okupacji straty te w zastraszający sposób się zwiększyły. Niemcy wywieźli do swych muzeów wiele cennych księgozbiorów i dzieł sztuki. Bolszewicy w pięknych zamkach, Olesku i Brodach, umieścili obozy jeńców. Zbiory Sieniawskich i Ryszczewskich (Brody) wyrzucano na podwórze tak, że uległy całkowitemu zniszczeniu. Z Wilna wywieziono muzeum masonskie (z biblioteki Wróblewskich), zrabowano Archiwum Państwowe, którego akta porzucono na dworcu w Mińsku, z Pińska zabrano olbrzymią bibliotekę OO. Jezuitów, zniszczono bibliotekę Puśłowskich, ograbiono Nieśwież i Ołykę. Nieraz celowo podaje się wiadomości o zniszczeniu zbiorów przez Niemców, aby ukryć ślady, jak to miało miejsce z biblioteką w Bydgoszczy. Dopiero niedawno okazało się, że Rada Bydgoszczy ofiarowała „w dowód wdzięczności za oswobodzenie Staliniowi” — księgozbiór Lenina, będący najcenniejszą częścią tamtejszej biblioteki.

Mimo strasznych grabieży i spustoszeń w naszym dobytku kulturalnym, Polacy nie tracą energii i wciąż powstają coraz to nowe zbiory, tworzone z dala od kraju, z myślą o zapewnieniu nimi po powrocie do Polski pustych sal naszych muzeów. W Rosji w latach 1941-42 Referat historyczny Armii Polskiej w ZSRR, pod kierownictwem dr Waleriana Charkiewicza, zebrał szereg broszur, pieśni i pamiątek z łagrow i obozów, które przewiózł i przekazał Archiwum Wojskowemu. dr Ludwik Ewert zakupił na rynku w Ferganie (Uzbecka SSR) część zbiorów Kostryckiego, zapewne jakiegoś Polaka — emigranta. Wszystkie te książki, między którymi znalazły się „Pamiętniki Paska” z 1845 r., 9 dywizja przywiozła do Palestyny i ofiarowała Bibliotece Narodowej. Dziś Archiwum Wojskowe posiada niewielkie, ale piękne zbiory, a i powstałe w ostatnim czasie Towarzystwo Miłośników Kultury Polskiej w Jerozolimie rozpoczęło, głównie wśród uchodźstwa, propagandę gromadzenia zabytków. Nie powinna zginąć ani jedna pamiątka, ani jedna książka, ani jedno pismo. Musimy je przywieźć do Polski.

*) Cytowane za „Ignace Paderewski — Musician and Statesman” by Rom Landau — Thomas Crowle Publ. New York, 1934 str. 279—280.

**) Cytowane za „Numéro, Spécial de la Revue Musicale — Chopin”, Paris, str. 371—372.

*) „La vérité sur la Russie” — Piotr Dolhorukow.

LIST Z LONDYNU FAKTY I KOMENTARZE

Londyn, w czerwcu.

Angielskie partie polityczne zajmują już wyraźnie stanowiska wypadowe do nadchodzącej kampanii. Labour Party ogłosiła już swój program. W polityce zagranicznej jest on mało przejrzysty. Przebiega z niego zakłopotanie i niepewność, jeśli idzie o stanowisko, jakie wypadło by zająć wobec pokonanych Niemiec. Ale też nacisk w tym programie nie jest położony na sprawy polityki zagranicznej. Labour Party pójdzie do wyborów pod hasłem reform społeczno-gospodarczych. A są to reformy istotne.

Program wyborczy Labourystów zapowiada przede wszystkim upaństwowienie czterech rodzajów ciężkiego przemysłu: kopaliń węgla, produkcji stali, gazu i elektryczności. Oznacza to, że wszystkie rodzaje energii przemysłowej mają stać się własnością państwa i że państwo poprzez ich rozdział ma możliwość wywierania silnego nacisku na wszelkie inne działy przemysłu.

Upaństwowione mają być także główne środki transportu, przede wszystkim kolej, oraz *Bank of England*. Operacje innych banków mają się znaleźć pod kontrolą rządu. Rząd ma również kontrolować wszelkie inne działy ciężkiego i średniego przemysłu. Co więcej, ma on również prowadzić aktywną i planową politykę aprowizacyjną. W tym celu ma być utrzymana polityka wielkich rządowych zakupów środków żywności, uprawiana w czasie wojny przez Ministerstwo Wyżywienia (*Ministry of Food*). Mają również Nadzyl i po wojnie funkcjonować Komitety Rolnicze Hrabstw (*County Agricultural Committees*). Przy pomocy takich to środków Labour Party pragnie także w dziedzinie rolnictwa wprowadzić zasady gospodarki planowej.

Celem, do którego ta polityka planowego gospodarstwa ma dążyć, jest uniemożliwienie bezrobocia na okres powojenny. *Full employment* — oto jest bojowe hasło wyborcze Labourystów.

To samo hasło wypisali na swych sztandarach wyborczych również i liberalowie. Partia liberalna była w Anglii w ciągu ostatnich kilkunastu lat w głębokim upadku. Ale ostatnio mnożą się w niej objawy odrodzenia. Przede wszystkim więc partia ta znalazła w osobie Sir William Beveridge'a wybitnego przywódcę. Przywódcę, który potrafił narzucić jej nowy program, odpowiadający potrzebom bieżącego dnia. Tak samo jak i labourysty, liberalowie uważają, iż dla uniknięcia klęski bezrobocia, państwo musi mieć prawo daleko idącej kontroli we wszystkich ważniejszych dziedzinach życia gospodarczego. Ale — inaczej niż labourystom — nie śpieszą im do upaństwowienia kopaliń, hut, elektrowni, kolei.

Poza nowym programem liberalowie mogliby wygrać przy wyborach jeszcze i inne atuty. Oto nie ulega wątpliwości, że wszystkie partie będą chciały zdobyć sobie popularność i tym, że wysuną wśród kandydatów znaczny procent ludzi, którzy odznaczyli się w operacjach wojennych. Liberalowie zaś mogliby pójść do wyborów z dwoma pierwszorzędny — z tego punktu widzenia — nazwiskami. Liberaliem jest marsz. Alexander. Blisko liberalów stoi popularny *Monty* — marsz. Montgomery.

Mogliby, — albowiem zwyczaj angielskiego życia politycznego chce, aby zwycięzcy marszałkowie otrzymali po ukończeniu wojny tytuły lordowskie i tym samym zostali z aktywnego życia politycznego kraju, praktycznie rzecz biorąc, wyłączeni. Kto chce, może w takim nadaniu tytułów lordowskich marszałkom widzieć wyraz hołdu narodu dla zwycięskich wodzów. Kto chce, może w tym widzieć dowód przeorności politycznej Anglików, uważających, iż dla życia politycznego kraju będzie zdrowiej, jeśli zwycięski wodz nie będzie brał w nim zbyt czynnego udziału, a dokona swego żywota w instytucji bardziej nobliwej, ale ostatecznie mającej mało wpływu na decyzje polityczne. W każdym bądź razie dziś, kiedy ster rządów znajduje się w ręku konserwatystów, a obaj zwycięscy wodzowie są ludźmi bliskimi liberalom, nie ulega wątpliwości, że będący u władzy konserwatyści zrobią wszystko, aby tych ewentualnych groźnych przeciwników politycznych odprawić z wszelkimi należnymi honorami do tego portu emerytury politycznej, jakim jest Izba Lordów.

Alexander i Montgomery byliby dla konserwatystów tym groźniejszymi przeciwnikami, że jak dotychczas nie widać było tych hasel, które by konserwatyści mogli skutecznie przeciwstawić labourystom i liberalom. Dobrze natomiast wiadomo, kto będzie w tej kampanii człowiekiem szandarowym konserwatystów. Będą się oni starali w tej kampanii wyzyskać olbrzymią popularność tego człowieka, którego z równym prawem co w poprzedniej wojnie Clemenceau można w obecnej nazwać Ojcem Zwycięstwa. Popularność Churchilla to ich najcenniejszy kapitał wyborczy. I dlatego jest rzeczą mało prawdopodobną, aby ten Ojciec Zwycięstwa w najbliższej przyszłości przekroczył czcigodne progi Izby Lordów.

Kazanie Crippsa

Jeden z dziennikarzy angielskich, rozważając niedawno perspektywę wyborów, podkreślał, iż siłą Partii Pracy jest to, że idzie ona do wyborów z wyraźnie sformułowanym i odpowiadającym aspiracjom mas programem reform społecznych. Ale za to — tłumaczył — labourysty nie mogą przeciwstawić konserwatystom żadnego przywódcy, który by był na miarę Churchilla. Chociaż, kto wie — wahał się — może takim człowiekiem jest Sir Stafford Cripps. W każdym bądź razie — konkludował — nikt inny w partii poza nim. To najmocniejsza indywidualność Partii Pracy.

Sir Stafford Cripps... Po raz pierwszy zobaczyłem go w październiku 1941 r. w pociągu ewakuacyjnym, wywożącym cenny korpus dyplomatyczny z Moskwy do Kujbyszewa. Chudy, wysoki pan o typowo angielskiej twarzy, korzystał z licznych przypadkowych postojów, aby wraz ze swym pięknym wilczurem bardzo szybkim krokiem odbywać spacer wzdłuż pociągu. Sprawiał takie wrażenie, jakby się bardzo śpieszył i bardzo gniewał. A może po prostu uważał, że taki szybki spacer wyjdzie psu na zdrowie?

Kiedy potem, w r. 1942, Cripps opuszczał ambasadę i miał wracać do Londynu, opowiadano sobie w związku z tym psem w Kujbyszewie ciakawą — i budującą — historię.

Psu dostać się do Anglii z zagranicy nie łatwo. Przed wojną musiał odbywać przy wjeździe długą kwarantannę. Ale w czasie wojny psie kwarantanny ludziom nie w głowie. Wydano więc przepis, że żadnego psa z zagranicy do Anglii w ogóle się nie wpuści. Ambasador jednak był do swego psa bardzo przywiązany. Zadeponował więc do *Foreign Office'u*, że prosi, aby w drodze wyjątku jego psa wpuszczono, zapewniając równocześnie, że pies był stale w towarzystwie albo jego, albo jego lokaja, że może zatem gwarantować, iż pies żadnych nieodpowiednich znajomości nie robił i żadnej psiej infekcji ze sobą do tego psiego raju, jakim jest Anglia, nie wwiezie.

Czytelnik, rzecz prosta, gotów jest w tym miejscu przypuszczać, że Crippsowi odpowiadano, iż co prawda przepis przepisem, ale — oczywiście — pies ambasadorski jest na szczególnych prawach, że dla pieska pana ambasadora, prośbę bardzo, droga otwarta ze wszystkimi honorami... Otóż właśnie, że nie podobnego. Cripps dostał w odpowiedzi od Edena depezę, iż prosi go, aby wycofał swoją prośbę. I pies Crippsa został w ZSRR.

Inną anegdotę o Crippsie w Kujbyszewie opowiadał mi, niedługo przed swoim aresztowaniem, Wiktor Alter. Cripps mieszkał w Kujbyszewie poza ambasadą, w specjalnym domku. Obaj przywódcy Bundu — Alter i Ehrlich — zostali pewnego dnia do niego zaproszeni. Drzwi otworzył im jakiś starszy pan, który zaraz zabrał się do ściągania z nich płaszczy. „Lokaj” — pomyśleli sobie. Ale ów „lokaj” był jakoś jak na lokaja źle wychowany, bo wyraźnie starał się z nowoprzybyłymi nawiązać rozmowę.

— A to panowie są tymi sławnymi socjalistami żydowskimi — oświadczył.

— A czy pan także jest socjalistą? Jest pan może członkiem Labour Party? — spytał go się z kolei Alter.

— Byłem, ale mnie stamtąd wylali.

— To zabawne, — odpowiedział Alter, — zupełnie tak samo, jak pańskiego pana.

— Ja właśnie nim jestem.

Dziś Cripps, który — jak wiadomo — został „wylany” z Partii Pracy za sympatie prosowieckie, nie tylko że do niej wrócił, ale i jest jednym z jej przywódców. Ambasadą w Moskwie i w Kujbyszewie, z której wywiał się bardzo dobrze, przyniosła mu dużo popularności i prestiżu. A chociaż jego misja do Indii skończyła się niepowodzeniem, niepowodzenie to nie zdołało zachwiać jego wyjątkową pozycją. Należy on do tych kilku ludzi, których nazwiska przede wszystkim się wymienia, gdy mowa jest o przyszłych następcach Churchilla na stanowisku premiera Wielkiej Brytanii. Szanse jego byłyby szczególnie mocne, gdyby Anglia poszła przy nowych wyborach bardzo na lewo. Jest w dalszym ciągu na lewicy Partii Pracy.

Toteż, skoro przeczytałem w *Times*ie notatkę, zapowiadającą odczyt Crippsa, postanowiłem na ten odczyt pójść. Ale odczyt był na dość niezwykły temat. Cripps miał mówić o „odpowiedzialności chrześcijańskiej”. I dość niezwykle było też miejsce odczytu. Lakoniczna notatka dziennika zapowiadała, iż zostanie on wygłoszony w „kościele prezbiteriańskim na Regent Square”.

Regent Square należy do najbardziej zbombardowanych placów Londynu. Tuż przy kościele jest wielkie puste miejsce, z którego właśnie robotnicy uprzątają resztki gruzów. Muru kościoła stoja co prawda całe, ale za kruchty, zabite deskami, prześwieca niebo. Na deskach kartka z napisem, że nabożeństwa odbywają się obecnie w sali odczytowej, w domu stojącym na tyłach kościoła. Zatem tam będzie też i odczyt.

Dom z salką odczytową prezbiterian także nie został oszczędzony przez bomby. Z hallu widać, iż w jednym z pokoi wyrwało futryny okna i obyspało tynk z sufitu. W samej sali, a właściwie malej, ponurej salce, sufitu w ogóle nie ma. Jest tylko dach. Kiedy pada — a właśnie padało — poniekądym ze słuchaczy kapią na głowy kropie deszczu.

Kiedy przyszedłem, sala była już w trzech czwartych wypełniona. Sama młodzież, i to w dziewięćdziesięciu procentach dziewczęta. Na ulicach Londynu widzi się dużo ładnych i zgrabnych kobiet (utarty frazes, iż Angielki są brzydkie, należy do bzdurniejszych komunałów). Ale te, które przyszły tutaj, raczej nie grzeszą pięknnością. Przybliższy jednak przyjrzeniu się sali, trzeba spostrzeżenie to skorygować. Dziewczęta, które wypełniły tę salę, są nie tyle brzydkie, co raczej ubrane w sposób, który świadczy, iż zupełnie nie zależy im na pielęgnowaniu urody. Co zwłaszcza większość z nich szpeci, to okulary. Jest też trochę błądych, anemicznych młodzieńców. I oni wszyscy są w okularach. Mimo woli i ja nakładam swoje na nos.

Sir Stafford Cripps rozpoczyna swój odczyt od cytaty z „Buntu mas” Ortegi y Sacceta: że tylko mocna wiara może ocalić cywilizację współczesną. Po czym ciągnął dalej: z nauki tego czy innego myśliciela możemy to, czy tamto, wybierać, a resztę odrzucać, ale z nauki Chrystusa, ponieważ jest boską, objawioną, nie wolno nam odrzucić niczego. I nie wolno nam robić z nią żadnych kompromisów, — przyjmować jak np. w życiu prywatnym, a nie stosować w życiu publicznym. Na świecie jest dzisiaj dużo zła, ale ufnosćka powinno nas natchnąć przypomnienie pierwszych wieków chrześcijaństwa, tego wielkiego przewrotu, jakiego w historii dokonała garstka ludzi, którzy mocno wierzyli.

Przemówienie to Sir Stafford Cripps spisał sobie na kartkach. Czyta je powoli, spokojnie, dobitnie akcentując słowa. Jak profesor wygłaszający wykład. Ale raczej nie, — raczej jak pastor na niedzielnym kazaniu. I naraz uświadamiam sobie całą paradoksalność, — z punktu widzenia moich, kontynentalnych nawyków myślowych — tej sytuacji: oto ten „czerwony” minister przyszedł tutaj, aby członkom jakiegos prezbiteriańskiego stowarzyszenia młodzieży wygłosić kazanie o potrzebie moralności chrześcijańskiej w życiu politycznym.

Wiktor Weintraub

Nowy rząd włoski

Nie trudno było przewidzieć, że po uwolnieniu północnych Włoch musi dojść do zasadniczej rekonstrukcji gabinetu Bonomiego. Oświadczenia przywódcy komunistów Togliattiego oraz generalnego sekretarza partii socjalistycznej podkreślały żądanie Komitetów Wyzwolenia, jakie działały na Północy, uzyskania wpływu na losy państwa.

Od chwili kapitulacji Włoch obecny gabinet utworzony przez prof. Feruccio Parri jest czwartym z kolei, który obejmuje rządy pod okupacją wojsk Sprzymierzonych, ale pierwszym, który będzie administrować całością kraju i zetknie się z radykalizmem Włoch północnych. W gabinetcie Parriego komuniści otrzymali teki sprawiedliwości i finansów, aktywności otrzymali premierstwo, sprawy wewnętrzne, ministerstwo odbudowy powojennej, przedstawiciele socjalistów zajęli miejsca wicepremiera, ministra opieki społecznej i ministra robót publicznych, liberalowie posiadają skarb, oświatę i tekę wicepremiera, chrześcijańscy demokraci otrzymali dwa fotele: spraw zagranicznych, przemysłu i handlu, wreszcie Partia Pracy weszła do rządu, otrzymując tekę ministra aprowizacji. Ponadto alianci zezwolili na utworzenie ministerstw wojny, lotnictwa i marynarki, które powierzono: chrześcijańskiemu demokracie, członkowi Partii Pracy i ministrowi bezpartyjnemu.

Przesilenie gabinetowe trwało ponad półtora miesiąca, co dostatecznie określa trudności, jakie towarzyszyły utworzeniu rządu Parriego. Głównym zadaniem nowego premiera będzie przewyższenie tradycyjnych wewnętrznych separatyzmów włoskich, — biorąc swój początek w dalekiej historii, antagonizmy między poszczególnymi prowincjami i miastami są jeszcze ciągle żywe, a południowy temperament włoski wpływa na ich intensywność. Dziś następuje zespolenie całego kraju po upływie półtora roku, podczas którego obie części pozostawały pod różnymi systemami rządzenia.

Głównie na północy skupił się przemysł przez rządy faszystowskie jeszcze bardziej rozbudowany, na północy też znajduje się główne źródło energii w postaci białego węgla. Za czasów rządów neo-faszystowskich ustroj społeczno-gospodarczy doprowadzono tam niemal do wzorów komunistycznych. Objawiły się w ten sposób socjalistyczne źródła faszyzmu.

W komitecie Wyzwolenia Narodowego, który w okresie okupacji Mussoliniego stanowił rząd podziemny północnych Włoch, skupiały się elementy skrajnie lewicowe. Rozczarowanie do monarchii, reakcja przeciw faszyzmowi — wszystko wpłynęło na poważne przesunięcie na lewo. Dziś lewica włoska sprawuje właściwie rządy nad całym półwyspem i nadaje ton życiu społecznemu. Łatwo zauważyć, że od chwili wyładowania Sprzymierzonych we Włoszech, kolejne gabinety włoskie przesunęły się ku lewicy. Początkowe objęcie władzy przez Badoglio oznaczało przewagę elementów konserwatywnych, w pierwszym rządzie Bonomiego miały jeszcze duże znaczenie grupy centrowe, ale drugi rząd Bonomiego oparty był już głównie na socjalistach i komunistach, w obecnym zaś rządzie Parriego wielu widzi już przygotowanie do pełnej władzy komunistów.

Pewne rzeczy istotnie na to wskazują. Teką sprawiedliwości w rękach Togliattiego może oznaczać radykalną czystkę wszystkich elementów niewygodnych dla komunistów; hasło „rządu biednych ludzi” ma pozyskać jak najszersze masy, wreszcie socjalista Nenni, jako wicepremier, ma przygotować zabranie konstytuancy. Czynnikiem decydującym w rządzie jest porozumienie trzech partii: komunistów, aktywistów i socjalistów, — tworzą oni jednolity front, co przypomina zalecaną niegdyś przez Komintern taktykę kompromisu między komunistami a radykalnym odłamek lewicy, który to kompromis ma zawsze stanowić okres przygotowawczy do jawnych rządów komunistycznych. Komuniści i socjaliści nalegają na usunięcie monarchii i wprowadzenie republiki, wysuwają też hasło reformy rolnej i upaństwowienia kluczowych przemysłów.

Obydwa hasła są dziś we Włoszech bardzo popularne, a polityka angielska, popierająca monarchię, wywołała poczucie, że obecne państwo stara się oddziaływać na rozwiązanie wewnętrznych trudności włoskich. Należy jednak pamiętać, że monarchia, choć współdziałanie z faszyzmem osłabiło jej wpływy, jest symbolem zjednoczenia Włoch i usunięcie tego symbolu gotowe ująć poważne rozdziwki istniejące między północną a południem, oraz podsyce separatyzm sycylijski, gdzie już dochodziło do krwawych zaburzeń na tle protestów ludności wyspy przeciw rządowi metropolii.

Istota rzeczy polega na tym, czy reformy społeczne, które są dziś koniecznością zarówno we Włoszech jak i w całej Europie, zostaną przeprowadzone przez elementy umiarkowane i szczerze patriotyczne, czy też wykonanie, ich będzie jedną z dróg prowadzących do władzy partię komunistyczną. Popularność komunistów osłabia ostatnio we Włoszech centralnych na tle stanowiska, jakie komuniści, na rozkaz z góry, zajęli w sprawie Triestu. Tym niemniej decydującą rolę może odegrać polityka aliancka jak dotąd popierająca bezkrytycznie monarchię i opóźniająca równouprawnienie Włoch w ramach Narodów Zjednoczonych.

Kryzys belgijski

Belgia, do której uwolnienia spod okupacji niemieckiej w znacznej mierze przyczynili się także i wojska polskie, w ciągu roku jaki upłynął od jej oswobodzenia przechodziła już kilka drastycznych kryzysów wewnętrznych. Dowództwo angielskie i amerykańskie interweniowało energicznie, gdy Belgii, będącej wówczas terenem przyfrontowym, zagroził strajk generalny. Stwarzało to niebezpieczeństwo dla linii komunikacyjnych wojsk Sprzymierzonych. Główna kwatery aliancka zażądała od rządu belgijskiego opanowania sytuacji, uprzedzając, że w razie wybuchu strajku, powierzy swoim siłom wojskowym zabezpieczenie normalnych stosunków w Belgii. Za kulisami ówczesnej agitacji za strajkiem generalnym stały wpływy komunistyczne.

Przed kilku miesiącami Belgia przeszła kryzys gabinetowy, wywołany przez skrajną lewicę. Rząd Pierlot — Spaak musiał ustąpić pod zarzu-

tem zbyt powolnej czystki kolaboracionistów, a miejsce jego zajął gabinet van Aekera, pozostający dotąd przy władzy. Należy podkreślić, że podczas wojny rząd Pierlota reprezentował niepodległościowe stanowisko belgijskie przeciwstawiające się współdziałaniu z Niemcami.

Podczas kilkuletniej okupacji Belgii przez Niemców, stosunkowo łagodnej w porównaniu z zachowaniem się hitlerowców w innych krajach, narosło w wewnętrznym życiu belgijskim wiele nowych problemów gospodarczych. Znaczna część wpływów politycznych przeszła w ręce Ruchu Oporu, który po wyzwoleniu Belgii pragnął nadal zachować kluczową pozycję polityczną i przeciwstawiał się zdembolizowaniu swoich organizacji wojskowych. Powracający z Anglii rząd belgijski uważał, że z chwilą przejścia do normalnych warunków wszelkie organizacje militarne muszą być albo rozwiązane, albo wejść w skład zamierzonej armii belgijskiej i poddać się dyrektywom rządu. Ewentualną rekonstrukcję gabinetu przewidywano tylko na zwykłej drodze konstytucyjnej. Konflikt między rządem a Ruchem Oporu załatwiono kompromisowo, istotne jednak zagadnienie zostało raczej odsunięte na bok, niż rozstrzygnięte. Następca Pierlota, van Acker, zdołał rozwiązać część trudności gospodarczych i przyczynić się do normalizacji życia.

W tych warunkach wybuchł niedawno w Belgii poważny kryzys państwowy, który sami Belgowie nazywają jednym z najdonioślejszych w swojej historii. Mianowicie uwolnienie króla Leopolda III z internowania niemieckiego utworzyło przed nim drogę do powrotu do kraju. Tymczasem przeciw powrotowi króla podniosły się liczne głosy sprzeciwu i wystąpiły rezultaty przedwojennych konfliktów między partiami politycznymi a Koroną. Dziś socjaliści, liberalowie, komuniści — a więc partie głównie reprezentowane w Ruchu Oporu — domagają się abdykacji króla. Za królem opowiada się jedynie partia katolicka, ale i ona zdaje sobie sprawę, że najłatwiejszym rozwiązaniem kryzysu byłaby abdykacja Leopolda III.

Przeciw królowi wysuwa się trojaki zarzut: zbytnia niezależność przedwojennej polityki królewskiej, okoliczności kapitulacji wobec Niemców, wreszcie — zawarcie morganatycznego małżeństwa podczas internowania. Niezależność polityki Leopolda III miała wyrazić się przede wszystkim w tym, że król na własną rękę proklamował powrót Belgii do ścisłej neutralności, co dopiero później zostało akceptowane przez ministrów. Z kolei zasada neutralności zmusiła Belgów do zrezygnowania z zamierzonych przedłużeń linii Maginota poprzez terytorium belgijskie.

Podczas ataku niemieckiego zawiódła tzw. Linia Alberta, oparta na systemie kanałów, ponieważ albo wskutek zaniedbań albo wskutek zdrady nie zdołano wysadzić mostów i otworzyć szluz. W ten sposób inwazja niemiecka załaziła Belgii z nieoczekiwaną szybkością. Bronili się zaciekłe izolowane twierdze, armia zaś francuska i ekspedycyjny korpus angielski pod naciskiem względów politycznych popełniły omyłkę strategiczną, opuszczając podstawę linii Maginota, góryste i lesiste tereny Ardenów, i wychodząc na spotkanie nieprzyjaciela na belgijskich polach. Wówczas to udało się Niemcom przeciąć w znacznej mierze linię połączeń między oddziałami zaawansowanymi w Belgii, a bazą francuską. Groziło okrążenie przez Niemców i tylko nieustępliwa walka mogłaby zapewnić szczęśliwy odwrot. Król przewidując utratę terytorium belgijskiego i przeniesienie wojny na teren Francji, zdecydował, że należy oszczędzić przelew krwi belgijskich żołnierzy i poprzez kapitulację przygotować dla kraju łagodniejszy reżim okupacyjny. Z drugiej jednak strony decyzja kapitulacji w r. 1940 stworzyła katastrofalną sytuację dla angielskiego korpusu ekspedycyjnego, otworzyła Niemcom drogę do Francji poprzez nagle wyrwaną lukę zapewniającą dotąd przez blisko 600 tysięczną armię. Bezpośrednim następstwem kapitulacji belgijskiej była Dunkierka.

Zarzuca się również królowi, że w listopadzie 1940 r. odbył podróż do Berchtesgaden, gdzie rozmawiał z Hitlerem. Podobno król miał co do tej sprawy ulec namowom swej siostry — żony księcia Piemontu. Wskazywano więc, że król poprzez dynastię włoską podlega wpływom faszyzmu. Ostatnio wreszcie morganatyczne małżeństwo króla przyczyniło się do spadku jego popularności, tym bardziej, że tragicznie zmarła królowa Astrid była powszechnie kochana i szanowana.

Paradoksalność sytuacji polega także na tym, że osoba króla zamiast łączyć naród belgijski, raczej go rozdziela, dwie bowiem narodowości: Wallonowie i Flamandowie zamieszkujący Belgię, mają różny stosunek do króla i zagadnień ustrojowych. Wallonowie są raczej liberalni i antyklerykalni, u Flamandów zaś przeważa konserwatyzm i przywiązanie do religii. Dziś raczej Flamandowie popierają króla, co zwraca przeciw niemu drugą część belgijskiego społeczeństwa.

Za królem jednak stoi tradycja zasłużona dla kraju dynastii sasko-koburskiej, a już szczególną część narodowa otacza pamięć jego ojca, tragicznie zmarłego króla Alberta, żołnierza pierwszej wojny światowej. Obok tego jednak partie polityczne pragną, aby król, jeżeli forma monarchii ma być zachowana, rzucił konstytucyjnie; by raczej panował, a właściwe rządy powierzył swoim ministrom.

W kryzysie belgijskim, jak zresztą zawsze we wszystkim, co dzieje się na ziemiach dawnej Flandrii, zainteresowana jest Wielka Brytania. Kola oficjalne oświadcza, że dalekie są od mieszanja się w wewnętrzne sprawy belgijskie, w prasie jednak odzywiają się głosy, że tak jak Rosja zabezpiecza sobie przyjaźnię rządy państw sąsiednich, Anglia również miałaby prawo popierać te czynniki, które w Belgii będą przemawiały za sojuszem państw zachodnich i za ustrojem prawdziwie demokratycznym. Podkreśla się przy tym, że oczywiście angielskie metody pozyskiwania przyjaźni państw z drugiej strony Kanału byłyby zupełnie inne niż metody rosyjskie.

Od czasu wojny stuletniej zagadnienia polityki międzynarodowej dotyczące Belgii są traktowane na wyspie brytyjskiej niemal jak własne. Odnosi się to w pełni do dzisiejszej sytuacji, a ponieważ najruchliwszą grupą w kryzysie belgijskim są komuniści, Anglia śledzi ich ruchy ze zdwojoną uwagą. W ten sposób kryzys Korony w Belgii trudno by było ograniczać wyłącznie do ram wewnętrznych.

Smutne metody

Ukazujący się w Jerozolimie na prawach rękopisu powielany biuletyn pt. „Pismo Młodych” w nrze czerwcowym (nr. 4) zaatakował dwutygodnik „W Drodze” w sposób nie mający precedensu w publicystyce emigracyjnej.

Jest nad wyraz smutne, że w okresie wymagającym skupienia wszystkich sił społeczeństwa polskiego, znaleźli się ludzie, którzy uważali za możliwe podjąć napasę na jedyny polski dwutygodnik polityczno-literacki. Jest to tym bardziej przykre, że „Pismo Młodych” posłużyło się w swym ataku podawaniem informacji nieprawdziwych oraz cytowaniem „W Drodze” bądź to nierzetelnie, bądź też wręcz fałszując tekst.

Jako przykład tych metod podajemy poniżej zestawienie cytaty zamieszczonej we wspomnianym nrze „Pisma Młodych” oraz autentycznego fragmentu tekstu z nr 7 (49) „W Drodze” z artykułu „Berlin i San Francisco”.

Nr. 1. Tekst umieszczony przez „Pismo Młodych”:

„Anglia i Ameryka nie były w Krymie w łatwej sytuacji. Odmowa wobec postulatów sowieckich groziła zawsze naruszeniem jedności systemu sojuszniczego, jaki ma zapewnić światu przyszły pokój (xx). Dwa wielkie mocarstwa, szukające z Sowietami trwałego kompromisu, poszły i musiały pójść za ogólną wolą; przeciwnie postępowanie naruszyłoby ich przewodnictwo w świecie demokratycznym, wnosząc na miejsce przyjętych zobowiązań dalszą dowolność decyzji, stwarzanych siłą”.

Nr. 2. W miejscu oznaczonym (xx) opuszczono złośliwie następujący ustęp, zmieniający zasadniczo znaczenie fragmentu:

„Gdy jedna ze stron stała się, druga musi ustępować, jeżeli nie chce powiedzieć kategorycznego „nie”. Trzeba pamiętać, że Polska nie leży w strefie bezpośrednich interesów — tak to przynajmniej widzą zainteresowani — brytyjskich lub amerykańskich i często od sprawy polskiej bywa ważniejszy Środkowy Wschód, Pacyfik, Grecja, Persja czy Sinkiang.”

Leży natomiast Polska wyraźnie w sferze interesów prawa, tym samym musi obchodzić wszystkich, dla których prawo, a nie siła, są ostoją pokoju i bezpieczeństwa. Głosowanie w San Francisco, odrzucając propozycję sowiecką powołania Lublina na konferencję, dało temu jaskrawy wyraz”.

Nr. 3. Poniżej przedrukujemy autentyczny fragment wspomnianego artykułu. Polega on na uzupełnieniu tekstu Nr. 1. przez opuszczony tekst podany pod nr. 2.

„Anglia i Ameryka nie były w Krymie w łatwej sytuacji. Odmowa wobec postulatów sowieckich groziła zawsze naruszeniem jedności systemu sojuszniczego, jaki ma zapewnić światu przyszły pokój. Gdy pewna ze stron stała się, druga musi ustępować, jeżeli nie chce powiedzieć kategorycznego „nie”. Trzeba pamiętać, że Polska nie leży w strefie bezpośrednich interesów — tak to przynajmniej widzą zainteresowani — brytyjskich lub amerykańskich i często od sprawy polskiej bywa ważniejszy Środkowy Pacyfik, Grecja, Persja, czy Sinkiang.”

Leży natomiast Polska wyraźnie w sferze interesów prawa, tym samym musi obchodzić wszystkich, dla których prawo, a nie siła, są ostoją pokoju i bezpieczeństwa. Głosowanie w San Francisco, odrzucając propozycję powołania Lublina na konferencję, dało temu jaskrawy wyraz. Dwa wielkie mocarstwa, szukające z Sowietami trwałego kompromisu, poszły i musiały pójść za ogólną wolą; przeciwnie postępowanie naruszyłoby ich przewodnictwo w świecie demokratycznym, wnosząc na miejsce przyjętych zobowiązań dalszą dowolność decyzji, stwarzanych siłą”.

Czytelnicy „W Drodze” mogą z łatwością osądzić, jakie efekty otrzymuje się przy pomocy podobnego preparowania cyt. W ten sposób można by niemal zawsze zacytować to właśnie, co jest dogodnie dla autora napasę.

Podczas gdy z fragmentu zamieszczonego przez „Pismo Młodych” wynikałoby, że wielkie mocarstwa „poszły i musiały pójść za ogólną wolą” w sprawie poświęcenia interesów Polski na konferencji krymskiej, z tekstu autentycznego artykułu wynika, że wymienione mocarstwa „poszły i musiały pójść za ogólną wolą” wyrażoną w głosowaniu odrzucającym propozycję powołania przedstawiciela Lublina na Konferencję w San Francisco.

„Pismo Młodych” opuszcza np. zdanie: „Leży natomiast Polska wyraźnie w sferze interesów prawa, tym samym musi obchodzić wszystkich, dla których prawo, a nie siła, są ostoją pokoju i bezpieczeństwa”, po czym pozwala sobie na zarzucanie „W Drodze” stanowiska niepolitego.

Jak wskazuje tytuł „Pismo Młodych” — redagują ludzie młodzi. Tym bardziej więc należy ubolewać nad wystąpieniem organu prasowego grupy młodej, już tak wcześniej posługującej się metodami, które musimy nazwać co najmniej nieprzyzwoitymi.

Nowość!

SZYMON ASKENAZY

„Ks. Józef Poniatowski”

Wydanie V

Nakład wydawnictwa „W Drodze”

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

Z PRASY OBCEJ

The Economist w numerze z 12 maja rb. zamieścił obszerny artykuł pt. „Kierowana rewolucja w Polsce”, omawiający system gospodarczy Polski, przy czym autor artykułu zamyka swe uwagi stwierdzeniem, że obecna sytuacja gospodarcza i społeczna mogłaby być określona mianem polskiego NEP-u. (Jak wiadomo NEP — skrót wyrazów rosyjskich „Nowaja ekonomiceskaja politika” — stanowił kierunek gospodarczy w Rosji Sowieckiej sprzed mniej więcej dwudziestu lat. Struktura ekonomiczna NEP-u opierała się o upaństwowienie przemysłu, z dopuszczeniem drobnej własności prywatnej w rolnictwie, i o handel, będący połączeniem handlu prywatnego z upaństwowionym).

Na marginesie tych wywodów gospodarczych The Economist zamieszcza uwagi o charakterze politycznym, których punktem wyjściowym jest wiadomość o zaarrestowaniu 16-tu Przywódców Polskich*). Te obserwacje polityczne zamieszcza my poniżej w streszczeniu:

Mołotow powiadomił ministrów Edena i Stettinusa, że 16-tu polskich przywódców zostało aresztowanych przez władze sowieckie z oskarżenia o „przygotowania do działalności dywersyjnej przeciwko Czerwonej Armii”. Pomiędzy aresztowanymi znaleźli się: Jankowski, wice-premier Rządu Polskiego, trzech innych ministrów tegoż Rządu, oraz dowódca wojsk Polskiego Ruchu Podziemnego, gen. Okulicki. Ponadto władze sowieckie aresztowały przedstawicieli czterech partii politycznych — Narodowej Demokracji, Chrześcijańskiej Demokracji, Ludowej i PPS — spośród których kilku zostało poleconych przez rząd W. Brytanii i St. Zjednoczonych jako ewentualni kandydaci do nowego rządu polskiego. Prawie równocześnie z zawiadomieniem o aresztowaniu przywódców polskich zamknięte zostały obrady plenarne posiedzenia lubelskiego quasi-parlamentu, krajowej rady narodowej.

Ze sprawozdań, składanych na jej ostatnim posiedzeniu, wyciągnąć można następujące wnioski dotyczące obecnej struktury politycznej Polski: Rewolucja lubelska doprowadziła do stworzenia zupełnie nowego aparatu państwowego. Mili-cja jest kontrolowana przez komunistów i zorganizowana mniej lub więcej na wzór policji sowieckiej. W jej cieniu pracuje rosyjska policja bezpieczeństwa.

Wciąż jeszcze odbywa się zaprawa nowych kadr oficerskich — wielu rosyjskich oficerów pełni funkcje instruktorów w armii polskiej. Podobnie radykalne zmiany zostały przeprowadzone w składzie osobowym wielu galezi administracji, która opiera się na tzw. Komitetach wyzwolenia — nowej wersji sowieckich rad robotników i żołnierzy.

*) (Ustrój polityczny Polski — zdaniem pisma — w przeciwstawieniu do ustroju gospodarczego — opiera się w tej chwili już na najnowszych wzorach rosyjskich).

Szczególną cechą „rewolucji”, jaką przeżywa Polska, jest widoczny brak zapalu ludu i monotonia naśladowczy charakter samej rewolucji. Przewrotności społeczeństwo nie towarzyszyły wielkie walki ideologiczne ani programowe. Polska otrzymuje system sowiecki w gotowej, autorytatywnej i totalitarnej formie, która w samej Rosji stanowi końcowy wynik długiej, bolesnej, a jednak „organicznej” ewolucji. Z góry przygotowane składniki produktu końcowego są po prostu przenoszone do Polski wraz z innymi modami panującymi w dzisiejszej Moskwie. Tak więc kontrolę robotnika nad produkcją zastąpił obecnie „autorytet pracodawcy”, co zapewne oznacza autorytet władzy państwowej. Strajki są zakazane i rozpoczęte zostało stosowanie w Polsce stachanowskiego systemu premii i wysocze różniczek w płac; jednocześnie walczą się przeciwko „reakcyjnym żądaniom zrównania płac”. Rehabilitacja Kościoła prawosławnego w Rosji ma swój odpowiednik w raczej ostantacyjnym kokietowaniu Kościoła Katolickiego przez Lublin. Komunizm rosyjski składa hołd Piotrowi Wielkiemu, Iwanowi Groźnemu i legendarnym wojownikom z zamierzchłej rosyjskiej przeszłości. Komuniści polscy również nawiązują do starej tradycji narodowej, prowadzącej wstecz aż do pierwszej polskiej dynastji Piastów, których ziemie rozciągały się na zachód od Odry. Wreszcie — a jest to przesłanka ostatnia, lecz na pewno nie najmniej ważna — w Polsce wszystkie głosowania, decyzje i rezolucje są podejmowane z absolutną, nudną i nienaturalną jedynomyślnością. Obraz rewolucji kierowanej stanie się zupełny, gdy uświadomimy sobie, że Komitety wyzwolenia narodowe, rady narodowe i wszystkie inne instytucje, które tworzą gmach nowego reżimu, powołane zostały do życia przez mianowanie, a nie przez wybory. „Sowiety” polskie stanowią imitację rosyjskich modeli raczej z roku 1945, niż z lat 1917—20.

Sytuacja dawnych partii jest niezmienne trudna. Rząd lubelski skradł im ich hasła. Upaństwowienie przemysłu było naczelnym hasłem programu socjalistów, a reforma rolna — partii ludowej. Są to obecnie hasła rządu lubelskiego. Obok tego rząd lubelski udaje, że jest bardziej katolicki niż chrześcijański, że jest bardziej narodowy, niż narodowi demokraci. Gra nadal swą rolę w programach dawnych partii hasło walki o niepodległość narodową, które nie straciło na swym znaczeniu, chociaż rząd lubelski zdolał wytłumaczyć poważnemu odłamowi inteligencji, że i on również ma dążyć do niepodległości Polski. Dawne partie walczą o utrzymanie poprzedniego systemu partii politycznych przeciw reżimowi jednej tylko partii, który już zapuszcza korzenie.

Zaarrestowanie 16-tu polskich przywódców stało się złowróżbnym znakiem, że proces „zglajszaltowania” Polski w system jednej partii — rozwija się dalej.

Trzecie przesłuchanie

(Dokończenie ze str. 2-ej)

pomocą trucizny staje się logiczną niemożliwością.

Ołowek sekretarki zamari nagle w bezruchu. Rubaszow, nie patrząc na nią, wiedział, że przestała stenografować i zwróciła swą ostrą, myślą twarz ku Gletkinowi. Zająca Wargę także patrzył na niego i zwiłzał językiem swe usta. Czy jego nie zdradzały ulgi, lecz oszołomienie i trwogę. Uczucie chwilowego tryumfu, jakiego doznał Rubaszow, znikło: miał dziwne wrażenie, jakby zakłócił spokojny przebieg uroczystej ceremonii. Rzeczywiście głos Gletkina brzmiał jeszcze chłodniej i bardziej urzędowo niż zwykle:

— Czy macie jeszcze jakieś pytania?

— To wszystko narazie — rzekł Rubaszow.

— Nikt nie twierdzi, że wasze instrukcje organiczają mordercę do użycia trucizny — powiedział spokojnie Gletkin. — Dalsze rozkaz wykonania zamachu. Wybór środków pozostawiono wykonawcy. — Zwrócił się do Zającej Wargi:

— Czy tak było?

— Tak — rzekł Zająca Wargę. W głosie jego brzmiało coś w rodzaju ulgi.

Rubaszow pamiętał, że oskarżenie wymieniało wyraźnie „podżeganie do morderstwa przez otrucie”, ale rzecz cała nagle wydała mu się obojętna. Czy rzeczywiście młody Michał Kieffer dokonał szaleńczego zamachu, czy tylko planował coś w tym rodzaju, czy całe przyznanie, czy też tylko część została sztucznie wpomowana w niego — to wszystko zdało się teraz Rubaszowowi posiadać jedynie prawnicze znaczenie. Nie miało to wpływu na jego winę. Ważne było, że ta nędzna figura przedstawiała logiczną konsekwencję jego własnych myśli. Zmieniły się role: to nie Gletkin, to on sam, Rubaszow, próbował spłatać jasną sprawę przez rozczanianie wąskow na części. Oskarżenie, które dotąd wydawało mu się tak absurdalne, rzeczywiście wstawiło — choć w sposób niezręczny i prostacki — brakujące ogniwo do zupełnej logicznej łańcucha.

A jednak Rubaszowowi wydawało się, że spotyka go jakaś niesprawiedliwość. Ale był zbyt wyczerpany, by ująć to w słowa.

— Czy macie jeszcze pytania? — zapytał Gletkin.

Rubaszow potrząsnął głową.

— Możesz odejść — rzekł Gletkin do Zającej Wargi. Nacisnął guzik dzwonka. Umundurowany strażnik wszedł i zajął Kiefferowi kajdany. Zanim go wyprowadzono, Zająca Wargę przy drzwiach odwrócił głowę raz jeszcze do Rubaszowa, jak zwykł był to czynić pod koniec swych spacerów po podwórzu. Rubaszow odczuł to spojrzenie jak ciężar. Zdjął binokle, zaczął trzeć je o rękaw i odwrócił oczy.

Gdy Zająca Wargę odszedł, Rubaszow prawie że mu zazdrościł. Głos Gletkina zagrzęczał w jego uszach, ostro i z brutalną świeżością:

— Czy przyznajecie teraz, że zeznanie Kieffera zgadza się z faktami w zasadniczych punktach?

Rubaszow musiał odwrócić się do lampy. Począł brzęczenie w uszach, a światło buchnęło gorącym i czerwienią poprzez cienką skórę jego powiek. Ale zdanie, w zasadniczych punktach — nie uszło jego uwagi. Tym zdaniem Gletkin budował most poprzez wyrwę w oskarżeniu i umożliwiał sobie zmianę „podżegania do otrucia” na zwykłe „podżeganie do morderstwa”.

— W zasadniczych punktach, tak — rzekł Rubaszow.

Zachrzęściły mankiety Gletkina i nawet sekretarka poruszyła się w krześle. Rubaszow uświadomił sobie, że teraz powiedział decydujące zdanie i przypieczętował swoje przyznanie się do winy. Ale skądże ci troglodyci mogli wiedzieć co on, Rubaszow, uważa za winę — co on, na swoim duchowym poziomie, nazywa prawdą?

— Czy światło wam przeszkadza? — zapytał nagle Gletkin.

Rubaszow uśmiechnął się, Gletkin odważnie uśmiech. Oto była mentalność jaskiniowca. A jednak, gdy oślepiające światło reflektora nieco złagodniało, Rubaszow odczuł ulgę, a nawet coś w rodzaju wdzięczności.

Teraz, choć jeszcze mrugając, mógł patrzeć w twarz Gletkina. Znow widział szeroką, czerwoną bliznę na czysto wygolonej czasce.

— ... z wyjątkiem tylko jednego punktu, który uważam za podstawowy — rzekł Rubaszow.

— Mianowicie? — zapytał Gletkin, znów sztywny i oficjalny.

„Oczywiście on teraz myśli o spotkaniu z młodym Kiefferem, które nigdy nie miało miejsca” — pomyślał Rubaszow. — „Oto jest to, co jego obchodzi: stawianie kropki nad „i” — nawet, jeśli ta kropka wygląda raczej na kleks. Ale, być może, ma rację ze swego punktu widzenia...”

— Punkt, o który mi chodzi, — rzekł głośno, — jest następujący: prawdą jest, że zgodnie z moimi ówczesnymi przekonaniami — mówiłem o potrzebie działania za pomocą siły. Ale miałem na myśli polityczną akcję, a nie indywidualne akty terroru.

— A więc woleliście wojnę domową? — spytał Gletkin.

— Nie, akcję masową — odparł Rubaszow.

ARTHUR KOESTLER
tłumaczył
JANUSZ JASIEŃCZYK

KORESPONDENCJA

Szanowny Panie Redaktorze,

w związku z artykułem i notatką pod rysunkiem Czernańskiego, które zostały opublikowane w „Piśmie Młodych” Nr. IV z czerwca 1945 r., pragnę jako kierownik Centrum Informacji wyrazić ubolewanie z powodu nieodpowiedzialnego ataku na osobę Pana Redaktora, którym wyrządzono Panu moralną krzywdę, podając w wątpliwość lojalność Pana w stosunku do legalnych władz Rzeczypospolitej.

Konsul Generalny R. P.
p. o. Kierownika Centrum Informacji
ALEKSY WDZIEKOŃSKI

Jerozolima, 29 czerwca 1945 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

w związku z nieodpowiedzialną i szkodliwą napasą „Pisma Młodych” na dwutygodnik „W Drodze” pomimo ustalenia polityki prasowej pism polskich na konferencjach porozumiewawczych, niżej podpisani przedstawiciele stronnictw rządowych stwierdzają, że nie posiadają zastrzeżeń w stosunku do działalności Pana jako redaktora „W Drodze”.

Wyrażając Panu swe pełne zaufanie, potępiamy metody użyte przez „Pismo Młodych” w czasach tak trudnych dla społeczeństwa polskiego.

ANTONI PAJAK,
Polska Partia Socjalistyczna
TADEUSZ BOROWICZ,
Stronnictwo Narodowe
ALEKSY GAŁUSZEK,
Stronnictwo Pracy

Jerozolima, 1 lipca 1945 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

w odpowiedzi na list Pański z dnia 28 czerwca 1945 r., pozwalam sobie zakomunikować co następuje:

Jedno z czasopism polskich w Jerozolimie, odbijanych na powielaczach, w niesłychany sposób zaatakowało pismo „W DRODZE”, osobę Pana Redaktora oraz Kierownictwo Centrum Informacji na Wschodzie w Jerozolimie. Zdrowa opinia polska osądzi sprawiedliwie ten godny pożałowania fakt wyłamania się z solidarności narodowej pewnej grupki, która uważała za możliwe w tak ciężkiej chwili podjąć dywersyjną akcję podrywania autorytetu legalnych władz polskich, posługując się fałszowaniem cyt. z dwutygodnika „W Drodze”.

Jako pełnomocnik Wydawcy „W DRODZE” uważam za konieczne podnieść, że atak, przeprowadzony na pismo, opiera się na fałszerstwie i kłamstwie, wtedy, gdy cel jego jest aż nadto dobrze wiadomy.

Stwierdzam Panie Redaktorze, że mam do Pana nadal pełne zaufanie, za szczerze polskie stanowisko, jakie Pan zawsze zajmował i zajmuje w swej działalności literackiej i publicystycznej.

Pełnomocnik Wydawcy „W DRODZE”
A. L. ROBINSON

Jerozolima, 28 czerwca 1945 r.

Nowość!

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

„DRZEWO ROZPACZAJĄCE”

Poezje

Cena 200 milsów

Nakład wydawnictwa „W DRODZE”

Nowość!